

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I.

Łódź, 16 marca 1958 r.

Cena 1 zł

nr 3

W bieżącym numerze: JAK SFRUWAJĄ „PIORKA“ • PIEKŁO KOBIET • NIE ROBCIE Z ŁODZI RYPINA • JAKIE ŻYCIE TAKA ŚMIERĆ • DUET REKLAMOWY • RZECZNIEPOSPOLITA • CZY DOJDZIE DO NOWEJ GENEWY? • WOKÓŁ JESIENINA

NASZ
AUTO-
KULIG



W TATRY

(patrz str. 3 i 10)

Sobie a guzom

Zapoznałem się z kapitalnymi danymi. Są to dane zupełnie wyjątkowe w skali kraju i zupełnie rzadkości w Europie. A znalazłem te dane w instytucji, po której można by się ich najmniej spodziewać. Z instytucją tą bowiem zwykło się wiązać przeważnie same złe wyobrażenia.

Zapoznałem się tedy z danymi o funkcjonowaniu „organu administracji terenowej”, czyli mówiąc po prostu, Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Dane te zebrała komisja usprawnienia administracji, działająca przy tym Prezydium i dotycząca one węzłowej w naszym życiu sprawy, mianowicie cyrkulacji papierków.

Ta Komisja dokonała dzieła nie lada. Prześledziła obieg dokumentów we wszystkich agendach rad narodowych Łodzi. W całym roku 1957.

PRZYCZYNEK

Bagatelka: 3 miliony pism i pisemek! Za sam trud ustalenia tej liczby odpowiednim obywatelom cześć i chwała! Wieczna sława zaś komisji za analizę i wnioski.

Pierwszy fragment tej analizy powiada, że na 373.000 spraw tzw. wpływających (do 31 agend) ponad 200 tysięcy docierało do odpowiednich urzędników dopiero na dzień DRUGI. Wniosek z tego, że lwią część spraw grzęzła z miejsca na początku toku załatwiania. Cały boży dziasek kwiłowało się te sprawy, rejestrowało, adnotowało...

Drugi fragment analizy poucza, że we wszystkich prezydiach rad dzielnicowych wszystkie sprawy wpływały do właściwych urzędników w ciągu dnia PIERWSZEGO. Nietypowy przykład w tej mierze dało tylko prezydium jednej dzielnicowej rady, w którym bieg spraw trwał dni DWA z POŁOWĄ. Lecz to tylko dlatego, że rzeczony prezydium stosowało się ściśle do obowiązującej instrukcji kancelaryjnej. Ta instrukcja zaś kategorycznie nakazuje, by przewodniczący i wiceprzewodniczący resortowi przeglądali wszystkie „wpływy” osobiście. (Choćby wszystkie dotyczyły miaty dziur w płocie).

Trzeci i istotny fragment analizy zaświadcza, że pomimo tak sprawnego przekazywania „wpływów” odpowiednim urzędnikom w prezydiach rad dzielnicowych, CZAS PRZECIĘTNY



ich załatwiania był dłuższy aniżeli w agendach Prezydium Rady Narodowej miasta. (Procent spraw załatwianych w ciągu TYGODNIA w dzielnicach — 43, a w agendach miejskich — 58,5). Czas przeciętny załatwiania spraw typowych, powtarzalnych, a więc tych, z którymi najczęściej zwracają się obywatele, w 17 zbadanych agendach miejskich wyniósł DWA TYGODNIE.

W tych fragmentach prócz ścisłości nie ma jeszcze rewelacji. Ostatecznie tę przeciętną odczuł jakoś każdy z nas na własnej skórze. Rewelacje zaczynają się dopiero wtedy, kiedy bierze się pod lupę CZAS MANIPULACJI urzędniczych. Okazuje się w wyniku ścisłych

DO ZAGADNIEN

obliczeń, że we wszystkich sprawach CO NAJWYŻEJ 20 PROCENT ogółu czasu załatwiania przypadają na konkretne czynności urzędnika. Mała reszta, bo 80 proc., to był czas LEŻENIA spraw pod sukrem i wyczekiwania obywatela na decyzję.

Skąd wynika ta 80-procentowa mitrega? Ano stąd, co zostało ujawnione nawet w wykresach, że pracownicy agend prezydium w żadnych sprawach nie decydują sami. Decydują natomiast w najdrobniejszych szczeplkach... kierownicy.

W naukowych terminach organizacji pracy ten stan rzeczy w cyrkulacji papierków nosi nazwę „nadmiernej ilości punktów zatrzymań”. Oto macie główny punkt zatrzymań zjawlennego procesu decentralizacji władzy. I tak długo ta decentralizacja dla obywatela będzie nową drewną mową, póki nasi urzędnicy pozostaną pozabawieni mocy decyzji.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że potrzebę decentralizacji decyzji się widzi. Lecz natrafia ona z wlewu stron na opory. Opór samych kierowników i ich zastępców, opór nisko kwalifikowanych urzędników, którzy wolą, by decyzja — na wszelki wypadek — plynęła zawsze z góry. Nie należy się temu oporowi dziwić. Bo rzecz ludzka bronić ciepłej posadki.

Niemniej termin tej bolesnej operacji się zbliża, bo diagnoza przyczyn bezradności pacjenta jest jednoznaczna: operacja ta może mu tylko pomóc.

Widzę nawet znakomite, niezawodne narzędzia operacji. Oto rząd zachęcił do niej rady narodowe, przewidując wszystkie środki finansowe, oszczędzone na wydatkach personalnych, do ich dyspozycji. Stwarza to realne perspektywy istotnego, kadrowego wzmocnienia administracji, przybliżenia do niej fachowców w miejsce ludzi miernego umysłu, a z nadmiernym mniemaniem o sobie. Przyjdzie może koniec skutuacji kadr w administracji, a nadejdzie pora rzeczywistych usprawnień — z mechanizacją pracy, biurowej włącznie.

Jak się zdaje, Łódź może przypaść w tym dziele

CYRKULACJI PAPIERKÓW

pierwszeństwo. Naukowe wnioski z badań, którym patronuje Prezydium Rady Narodowej proszą się o urzeczywistnienie. Jeśli w sukurs temu przyjdzie ustawa o pragmatyce służbowej, która winna stworzyć gwarancje „karierę życiową” pracownikom administracji, ów komunał, który głosi, że jest ona najgorsza na świecie, straci może realne podstawy.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Czy dojdzie do nowej Genewy?

Młócić politykę. Tak się często mówiło w przeszłości o zamiataniu ludziem do prowadzenia w gronie przyjaciół rozmów i dyskusji politycznych. „Cóż tam, panie, w polityce? Chybaż ci trzymają się mocno!” — mówił Czepiec z „Wesela” do Dziennikarza i wyraźnie zdradza ochotę do politycznej młocki. Dziś w prywatnym kręgu paru osób raczej rzadko porusza się problemy polityki światowej. Wpłynęły na to niewątpliwie uproszczenia i schematy, jakimi w tej dziedzinie przez lata całe operowała nasza propaganda. Jednostronne komentarze na łamach dzienników i czasopism zastępowały informacje, bez której prywatne dyskusje i przewidywania stawały się jałowe i nudne. Ale obecne głębokie przemiany w naszym kraju dotknęły i tej dziedziny.

proszymy do spotkania. pokierujemy rozmowami tak, by zakończyły się fiaskiem, a potem powiemy, że pozostaje nam tylko jedna droga — zbroić się.

Alle przypuszczenia co do subiektywnych pobudek Adenauera nie są ważne. Ważne jest, że obiektywnie od grudnia ub. roku do początku marca br. sprawa konferencji „na najwyższym szczeblu” w znacznym stopniu dojrzała. Wpłynęła na to wymiana listów między Bułgariem a Eisenhowerem, Gaillardem i Macmillanem, wzmożona działalność partii opozycyjnych w Anglii, Niemczech zachodnich, a nawet w Stanach Zjednoczonych i ożywiona działalność dyplomatyczna, w której i Polska ma swój skromny, ale godny zanotowania udział.

Projekty są różne. Związek Radziecki proponował spotkanie, w którym uczestniczyłoby szefowie rządów 15 państw — członków NATO, 8 państw — członków paktu warszawskiego i 6 państw neutralnych. Zachód był przeciwny — jak to określano — konferencji „mamutowej” i skłaniał się raczej ku konferencji „Wielkiej Czwórki”. Ostatnio jednak wysunięto projekt kom-

promisowy, w którym ze strony zachodniej obok USA, Anglii i Francji uczestniczyłyby Kanada lub Włochy, a ze strony wschodniej obok ZSRR — Polska, Czechosłowacja i ewentualnie dla zachowania parytetu czwarte państwo, przy czym wymienia się Rumunię lub Bułgarię. Za zaproszeniem Polski i Czechosłowacji wypowiedzieli się niektórzy zachodni mężowie stanu, m. in. Harold Stassen.

Bardzo ważnym momentem jest, iż obie strony decydują się omawiać na przyszłej konferencji tylko te sprawy, które rokuja o-



Harold Stassen

siągnięciu porozumienia. Znaczy się, że nie będzie — przynajmniej w sensie jawnym, prób stordowania rozmów zaraz na wstępie.

Termin konferencji, jak również poprzedzające ją ewentualne spotkania ministrów spraw zagranicznych — to są już sprawy drugorzędne. Faktem jest, że perspektywa nowej Genewy zarysowuje się coraz wyraźniej. Nie trzeba obiecywać sobie po niej zbyt wiele, by się nie rozczarować. Ale sama atmosfera dyskusji, bezpośredni kontakt czołowych mężów stanu — to już poważny krok w stronę odprężenia, na które czekamy wszyscy.

Tyle na dziś wymłócił.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Nasza szkoła

Rzeczniepospolita

Polska staje się krajem eleganckim. Minęły dawno czasy, kiedy to panowała w naszym społeczeństwie jednorodność, a co bogatszy kanciarz z prywatnej inicjatywy kolebał się tramwajem, bojąc się kławać na taksówkę, aby tego nie zauważono, żeby broń boże nie wyróżnić się spośród masy pozytywnych bohaterów naszych dni, trzęsących się w tramwajowym tłoku.

Oczywiście i Wy, moi miłośnicy Czytelnicy a Uczniowie — zauważyć możecie, jaka to elegancka rzecz ta Rzeczpospolita, czytając w „Expressie Ilustrowanym” o wyścigach „Miss Łodzi”, o parze księżęcej w łódzkiej kawiarni, o flirtach i pogrzebach, o modzie, o artystach, artystkach — złodziejach i defraudantach, czyli całym naszym eleganckim świecie. Z lektury „Expressu” wynosicie złudne przekonanie, że skoro cały numer naszpikowany jest wspomnianymi wspaniałostkami macie już obraz całej świetności naszego życia.

Otóż nie. Aby poprzez lekturę przekroczyć najwyższe progi, aby wiedzieć, jak była ubrana mecenasowa Kicińska na balu i z kim tańczyła i z kim tańczył aktualny warszawski Rudolf Valentino, lekturę „Expressu” uzupełnić trzeba czytaniem „prawdziwej, wolnej, zachodniej prasy”, która renesans wspaniałości polskiego życia dostrzega i opisuje. Otwieramy tedy „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i przebiegając oczyma szpalty zastajemy w błogiej ekstazie:

„Od dwudziestu lat nie oglądała Warszawa takiego balu” — rzekł nam starszy pan, noszący z godnością monokl w oku i ubolewał jedynie, że po upływie tych dziesiątków lat styl tańców nie jest już tak

wytworny. Amerykańskie i francuskie rytmy orkiestry nie zdołały natomiast zachęcić towarzysztwa do przesadnej swobodności. Mimo że baloniki i konfetti, strzelające kotki od szampa, potoki wódki, jak też wina reńskie i mozelskie dodawały skrzydeł nastrojowi, natężenie głosów nie przekraczało przyjętych granic.

WARSZAWA, 9 lutego — Przybyłszy z Zachodu przecierali oczy: czyż to naprawdę możliwe w komunistycznym kraju? Prawie same smokiny, a nawet fraki, stroje wieczorowe, modele pod względem elegancji wytrzymujące porównanie z paryską haute couture, towarzysztwo roztańczające z wdziękiem blask niezwyklej tuż zamożności, jak gdyby elegancja i bogactwo były rzeczą najbardziej oczywistą w Polsce 1953 r. Dom Mody „Ewa” na Foksal pracował ostatnio nocami, by wykończyć na czas suknie dla pań.

Ponieważ nie gardził się tu nawet wynaturzeniami Zachodu, nieunikniony okazał się, rzecz jasna, również wybór Miss Mody. Znaleźniono najpiękniejszą wśród tytułowych Polek nie mogło być rzeczą łatwą tam, gdzie wdziałku nie wymierza się za pomocą norm. Dobór publiczności nastąpił już chociażby wskutek wysokiej ceny wstępu 220 zł (ponad 40 marek). Przy wejściach czuwalni rośli portierzy hotelowi, by towarzysztwo nie stało się zbyt „bezklasowe”.

Świat nas widzi, drodzy moi, docenia i podziwiał. Niestety, nasza rodzima prasa nie potrafi jeszcze tak wnikliwie i całościowo chwycić blasków naszego życia. Wciąż jeszcze pogrążona jest bowiem w czarnowidzkiem krytykanctwie. Dobrze przynajmniej, że umiała dostrzec przytoczony powyżej łaskawy nam ukłon Zachodu i z nabobstwem a pietysmem przedrukowała słowa, którymi raczył nas zaszczyścić Je- go wysłannik.

Ale przecie dokumenty polskiego awansu europejskiego znajdującej się w rodzimych szpaltach we właściwej obfitości. Trzeba umieć tylko czytać, co zgodnie z programem nauczania „naszej szkółki” jeszcze raz rzekną, a mówić będą do znużenia. Jest sobie skromna notatka prasowa: pracownik wrocławskiej piekarni mechanicznej pragnął wstąpić na wyższą uczelnię. Na egzamin wstępny posiał „murzyna”. Rzecz wykryta została w związku z tym, że przemysłowy piekarz miał brodę, a „murzyn” nie — i stąd rozpoznano mistyfikację.

Kiećdyś z notatki tej snubiliśmy wniosek: młodzież robotnicza wstępuje na wyższe uczelnie. W następnym okresie wywodziliby bojowo płasa walcząca o odnowę: wzrasta przestępczość wśród młodzieży!

Dziś moral dotyczy brody. Z faktu powyższego wycytujemy: młodzież robotnicza nosi eleganckie, modne. Zachodnie brody. Albowiem cała prasa nazwała brodę owego niefortunnego piekarza — brodą egzystencjalistyczną.

Świat przestępcy również grawituje ku salonom. Grupa „oprysków”, jak ich nieelegancko nazywa prasa, zrobiła napad na Muzeum w Grudziądzu, krądnąc halabardą i inną broń ozdobną. Maluczko, a damasceńskie mizerikordie zastąpiła w naszym wykwinym kraju sprężynowe noże i kasetki.

Naprzeciw procesowi elegancji naszego kraju wychodzi również państwo. Wydano akt prawno-skarbowy, mocą którego za psy rasowe, zarejestrowane w Związku Kynologicznym, płaci się o połowę mniejszy podatek niż za kundle.

To wszystko jest tendencją postępującą w naszym życiu, tym novum, które się rodzi i rozwija. Czytajmy o tym w naszej prasie dla pokrzepienia serc.

Wąsz BELFER

(który nosząc stare buty do polatania, kupił sobie monokl).



Odpowiedź Rapackiemu. („Der Spiegel”)

Więcej mamy elementów dla domysłów i poszukiwań. A więc co — pomłóćmy!

Od czego zacząć? Temat aż się prosi. Niewątpliwie najczęściej mówi się dziś i pisze o konferencji „na najwyższym szczeblu”. Zagadnienia wiążące się z tą konferencją są tak złożone i wielopłaszczyznowe, że trudno nawet pokusić się o jakiegoś wyczerpującego ich ujęcie. Zresztą założenia naszej „politycznej młocki” wcale nas do tego nie zobowiązują.

Pamiętamy, że koncepcja wznowienia bezpośrednich rozmów ze Wschodem zwyciężyła na grudniowej sesji NATO, w dwa i pół roku po Genewie. Rada paktu atlantyckiego zebrała się w Paryżu, by radzić nad uzbrojeniem w broń nuklearną armii zachodnio-europejskiej ale zamiast do porozumienia w tej sprawie doszła nieoczekiwanie do wniosku, że należy wrócić do dialogu Wschód — Zachód.

Niespodziankę w tej mierze zgotował Adenauer, który na sesji NATO jakby zmienił front i wypowiedział się za rozmowami. Nie było to znaczące związane z radykalną metamorfozą przekonań kanciera zachodniemieckiego. Ocenil on po prostu na chłodno nastroje, panujące w społeczeństwie Europy zachodniej i stwierdził, że zbrojenia atomowe i wodorowe są zdecydowanie niepopularne, natomiast opinia publiczna pragnie odprężenia międzynarodowego i rozmów ze Związkiem Radzieckim.

Można przypuścić, że tok rozumowania Adenauera był taki: Chcą rozmów z Rosją? Dobrze, będą je mieli. Do-

Piekło kobiet (III)

RÓWNOUPRAWNIONE

ZOFIA TARNOWSKA

Kobieta w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma równe z mężczyzną prawa we wszystkich dziedzinach życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego.

Ten niewątpliwawy awans kobiet, usankcjonowany odpowiednim artykułem Konstytucji, w oficjalnej i praktycznej wymowie otworzył kobiecie wszystkie drogi, począwszy od zdobywania wykształcenia aż do zajmowania najwyższych stanowisk państwowych. Prawo równego startu z mężczyzną zalemuje się jednak bardzo często na drodze życia, kiedy następuje mała przerwa w podróży na przystanku: małżeństwo. Często ten przystanek niweczy piękny sens równouprawnienia i pogrąża kobietę w chaosie trudnej codzienności życia rodzinnego i domowego.

Warunki ustrojowe i ekonomiczne były m. in. źródłem specjalnego przygotowania kobiet do życia, tzn. do pełnienia roli żony, matki i gospodyni — wszechstronnego uzupełnienia życia mężczyzny, którego jedynym obowiązkiem było materialne zabezpieczenie rodziny. A kobieta czuła się na właściwej pozycji, kiedy w dowodzie osobistym w rubryce „zawód” widniało „przy mężu”.

Niemieckie „Kinder Kueche und Kirche” najlepiej określało cel i sens życia kobiety.

PRAWA I OBOWIĄZKI

Równouprawnienie miało wyzwoić kobiety z okrycia trzech K. „I cóż nam daje to równouprawnienie?” — pytają dziś kobiety. Co prawda w momencie zawierania aktu małżeństwa padają słowa adresowane do obojga małżon-

ków o wzajemnej pomocy i współdziałaniu, ale słowa te rzadko zamieniają się w czyn, jeśli chodzi o małżonka.

Urlop macierzyński, nie wiem z jakich względów, kojarzy się wzbudnie z odpoczynkiem. Która z kobiet może ten okres nazwać urlopem? Oddech się łapie dopiero z chwilą powrotu do pracy i oddania dziecka do żłobka. Ale dziecko do żłobka odwozi matka, ze żłobka przywozi matka, ona wstaje do niego w nocy, ona przygotowuje dla siebie i męża śniadanie. Ona nie jest nigdy zmęczona. Zmęczony i wymagający troskliwości jest zawsze mężczyzna.

On nie pierze, nie prasuje, nie ceruje, nie gotuje, nie sprząta, nie ubiera dzieci bo... on pracuje. Mało tego. On wymaga żeby po nim sprzątnąć, jemu podać, jemu zrobić.

Spotkałam kiedyś na przystanku tramwajowym kobietę dźwigającą na plecach wór węgla. Płaska głoność. Zapytana, co się stało, odpowiedziała: — Pan! widzi co ja dźwigam, sił już nie mam, życie sobie odbiorę albo co...

— A dlaczego pani dźwiga, nie może maż tego zrobić?

— Maż? Leży w domu. Prosiłam, żeby przyniósł, bo nie mam czym palić. Troje małych dzieci w domu powiedział, że bym mu dała spokół, o! swoje zrobił...

— Pani pracuje?

— Pewnie, że pracuję, jego pieniądze nie starczy.

— To przecież powinien pan! pomóc!

— Niech mu pani to powie, to się pan! dowie, że teraz jest równouprawnienie. Jak kobiety chciały robić to co mężczyźni, to niech robią.

I robią. Niez kobiet pracujących zawodowo rąbie drzewo, nosi wodę i węgiew na pietra, załatwia wszystkie sprawy administracyjne domu, porządkowe, reperacje urządzeń i często jeszcze pilnuje spraw

męża. Robią to dla świętego spokoju, żeby unikać piekła w domu, jakie gotów rozpaść pan i władca w momencie, kiedy zaczyna się mówić o jego obowiązkach.

Nie myślcie, że tak się dzieje tylko w środowiskach o niskim poziomie intelektualnym, materialnym lub kulturalnym. Znajdziecie to na „wyższych szczeblach” też. Nawet wśród zdeklarowanych marksistów i wielkich społeczników. Z niemniejszą brutalnością, lecz z większym cynizmem i drwiną powiedzą wam: „Chcialsiecie równouprawnienia, fajcie macie, przynajmniej nie macie czasu myśleć o kochankach...”

A spróbujcie powiedzieć, że nie będziecie nie robić w domu. — To nie rób — padnie odpowiedź. — Nie dla mnie robisz, matka mi zawsze koszulę upierze...

CZYJ SKORUPKA ZA MŁODU...

Matka! Wyrosły te matki w owych sławnych warunkach kuchni, dzieci i kościółka, podobnie jak matki i babki, służące mężczyźnie i widząc w nim jedynego pana i władcę portfeli i jego użytkownia. I w tym duchu wychowały swych synów. I takie, jak one same, chciałyby mieć synowe. Co najmniej szok w takiej rodzinie wywołuje synowa, która zamiast uczyć się pod klerunkiem teściowej, jak prasować koszulę meską, idzie na wyższe studia, powołując się na równouprawnienie. Szok nie kończy się na tym. „Oszukana” rodzinka robi co może, żeby niewrócić zblakana owieczkę i jakże często dochodzi do tragedii. Kończącej się rozwodem. A jakże często „równouprawniona” zaprzęga się do kieratu domowego poświęcając w imię miłości męża i ogniska domowego wszystkie swe ambitalne plany życiowe.

Znałam jedną z owych „genialnych” teściowych, która na widok siedmioletniego wnuka robiącego

sobie herbatę krzyknęła ze zgrozą: „Czyż ty widział, żeby ojciec sobie kiedy sam herbatę nalewał?!”

Prawdziwy zamęt wprowadziła młoda matka w kanonach wychowawczych ancien reżimu, bo nie tylko herbatę nalewała, ale także sprzątała i podawała do stołu swemu siedmioletniemu synowi polecała.

I słusznie. To jest jedyna rada na wykorzenie starych zwyczajów i obyczajów wychowawczych, tkwiących w dawnych warunkach życia. Kobiety muszą stosować inne metody wychowywania synów. W poczuciu obowiązkowości, brania udziału w ponoszeniu trudności życia rodzinnego, okazywania pomocy matce i siostrze oraz samodzielnego zajmowania się swoją osobą. Od mycia uszu, poprzez czyszczenie butów i prasowanie spodni, do przyszywania guzików i cerowania skarpet chłopcy powinni być przyzwyczajani do wykonywania czynności, które do tej pory zarezerwowane i zagwarantowane były tylko dla kobiet.

Nie widzę tu żadnego usprawiedliwienia dla niewykonywania tych czynności przez mężczyzn. Ich zdolności manualne nie są mniejsze niż kobiece. Tylko większe jest ich lenistwo i wygodystwo. Te cechy trzeba łupić od małego. I szkoła winna tu matkom przyjąć z pomocą. Lekcje robót ręcznych, na których chłopcy przyszywały guzik i cerują skarpety jest nowością, która powinna być utrzymana i rozwijana. Również harcerstwo w programach zajęć powinno wprowadzić sprawności pracy domowej. Nie wychowujmy zdrowych kalek, wokół których krzają się mamy całej żyćcie z uśmiechem na ustach dla zachowania pozorów cieploty i przytulności ogniska domowego kosztem swych nerwów, sił, zdrowia i rezygnacji z własnych ambicji.

NASZ AUTOKULIG W TATRY



Człowiek wyzwolony lubi przebywać w stadzie jemu podobnych. Inni wyzwolenicy pogłębiają w nim świadomość własnego wyzwolenia. Poza tym jest się przed kim popisywać swoją wyzwoloność. Stado wyzwolenców może przebywać w dowolnych miejscach i oddawać się dowolnym czynnościom. Zwiedzanie zabytków ma wśród tych czynności wysoką lokatę.



Człowiek wyzwolony pasjami lubi trząść się dryndą na spacer. Czuje się w ten sposób zawieszony o stopień wyżej od ludzi łażących piechotą.



CZŁOWIEK, WYJEZDZAJĄCY SAMOTNIE NA WCZASY („SAMOTNIE” ZNACZY W TYM WYPADKU BEZ SWOJEJ ŻONY, SWOJEGO MĘŻA ITT.) CZUJE SIĘ... WYZWOLONY. JAK SIĘ ZACHOWUJE? CZYTAJCIE BO GATO ILUSTROWANY REPORTAŻ NA STR. 3 I 10.



W człowieku wyzwolonym budzą się uspięne na codzień instynkty zdobywcy. Okres wyzwolenia — okres zdobywania. Aby szybko — bo za tydzień: żona i dzieci. Człowiek wyzwolony chętnie więc zapina sweterki młodemu egzemplarzowi płci odmiennej. W ten sposób może chociaż myślał sięgać dalej. Jest to bardzo przydatne dla miłego snucia wieczornych marzeń przed zaśnięciem, którym towarzyszy optymistyczna pewność, że jutro, jutro... już na pewno...



Człowiek wyzwolony pod koniec okresu wyzwolenia zazwyczaj chadza parami, co jest ukoronowaniem jego całotygodniowych dążeń. Pary także świetnie się prezentują w wolnej, niczym nie zabudowanej przestrzeni.

Człowiek wyzwolony lubi przestrzeń. Uważa ją za doskonałą scenę wyzwolenia. Ustawia się więc na odpowiadającym jemu tle i...

...oglądając innych wyzwolonych silnie odczuwa swą z nimi wspólnotę. Rad by wywiesić transparent: „Wyzwolenicy wszystkich szczytów łączcie się”.



I czasem, przed odjazdem z miejsca wyzwolenia, co młodsze egzemplarze ludzików wyzwolonych kupują niespodziewanie np. lalkę. Tu ja nie mam już nic do powiedzenia. Może miałby coś do powiedzenia Freud.

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

W ruinach starego opactwa w Sulejowie zmarł nagle H. Pronobis, sędziwy bibliograf. Przyjaciele jego — poeta Nataniel i publicysta Tomasz — podejrzewają, że śmierć Pronobisa, atak serca, został przez kogoś spowodowany. W przedśmiertnym liście do przyjaciela pisał on, że nawiedzają go jacyś biali mnisi, podobni do upiórów, że młoda i piękna kobieta żąda od niego testamentu rycerza Baldaricha-Baldrzycha. Wraz ze śmiercią Pronobisa, testament ten zniknął. W karczmie Winodaj Nataniel i Tomasz przypadkowo od trójki przejeżdżających gości słyszą nazwisko „Baldarich-Baldrzych” i dowiadują się o istnieniu skarbów Baldaricha.

głowie kręciło mi się od wypitej wódki. Rzuciłem karczmarzowi pięciozłotowy papier, narzucając płaszcz. Nataniel uchwycił mnie za rękę i wyciągnął z karczmy lekceważąc resztę z naszego rachunku.

Na dworze wiatr smagnął nas w twarz, zerwał Natanielowi kapelusz. Daleko na szosie mętniały czerwone światła oddalającego się samochodu.

Ale Nataniel na szczęście nie wypił w karczmie ani łyku wódki; po trzech kilometrach gonitwy siedzieliśmy prawie na ogniu „Mercedesa” domniemanych zabójców Pronobisa.

Podniecony gonitwą kręciłem się na miękkim siedzeniu obok Nataniela.

— Jasne jest teraz dla mnie wszystko. Wszystki — mówiłem, rozgniatując nos na szybie, żeby zajrzeć do uciekającego przed nami samochodu. — Stawka są jakieś tam skarby Baldarzycha. Wyraźnie ten Szczurek powiedział; „skarby Baldarzycha, to gra warta zachodu”. Ta czarna dama odwiedziła Pronobisa, aby wydosłać od niego testament Baldarzycha, który zapewne przypadkiem, wraz z dokumentami opactwa dostał się w jego ręce. Lecz widać sam testament nie wystarczy dla zdobycia skarbu, a pieniądze już teraz są im potrzebne. Więc zamierzają jakąś „meblową historię”. Czy nie domyślasz się, co kryją za tymi słowami?

Nataniel zaprzeczył ruchem głowy, pochłonięty jazdą. Zapaliłem papierosa.

— Z pewnością znowu omysliają zbrodnię. Są chyba zdolni do najgorszego. Niech cię nie myli, Natanielu, piękność tej czarnej damy. To tylko wspaniała maska. Literatura zna dobrze podobne przypadki. Pamiętajsz postać milady z Dumasa? Połączenie niebiańskiej piękności z szatańską zbrodniczością charakteru. Ścigamy Czarną Miladę, Natanielu. Zwodniczy bliźniak urody zazwyczaj pokrywa przewrotność i lekkomyślność. Wiem o tym doskonale...

— O tak — dwuznacznie przyświadczył mistrz. Gdyby nie kierował samochodem, na pewno wdałby się ze mną w dłuższą dysputę: „Lękam się Tomaszu, że jak większość mężczyzn i ty jesteś upośledzony niewiedzą o tym wdzięcznym temacie”.

Drzewa po obu stronach przebiegają z jednostajnym rytmem, łagodny szum motoru przycisza uderzenia wiatru. Nagle błysnęły przed nami ostrzegawcze ogniki „stopu”, pisnęły hamulce. Wóz Czarnej Milady zbiegł w boczną żwirówkę i pomknął w noc, chybotając na wybojach.

Dogoniliśmy ich w lesie i odtąd znowu towarzyszyliśmy oddaleni o niewielką odległość. Było to nierozważne.

Za lasem zjechali w boczną drogę. My uczyniliśmy to samo, ale o kilkanaście sekund później. Oni skręcili w otwartą bramę chłopieckiego podwórka i obok stodoły wydostali się na bagnistą drożynę (jakże doskonale orientowali się w okolicy) — my za nimi: o cztery długości „Cadillaca”. Bez ustanku prze-

śladowali ich ostre światła naszych reflektorów — oni z drożyny wypadli w przesiekę leśną i my również pognaliśmy przesieką.

Trudno było im się od nas oderwać, bo ich stary „Mercedes” ani się umywał do „Cadillaca” mistrza Nataniela. Uciekli się więc do sprytnego fortelu. Szeroką przesiekę przegradzała duża kahuza błota, pędzili wprost na nią, zasłaniając nam sobą drogę. Wtem wykonali skręt, wyminieli kahuzę nieledwie ocierając się o drzewa. Nataniel nacisnął hamulec, i uratował nas o tyle, że wpakował się w błoto tylko przednimi kołami. Wpakował się i uwiązł.

— Uciekną! Uciekną, Natanielu! — krzyczałem, patrząc bezradnie jak czerwone ogniki wtopiły się w czern lasu.

ROZDZIAŁ III PRZEKLEŃNIK

Napotkany leśnik wskazał nam drogę na Przekleńnik. Dobiegała dziewiąta wieczór, gdy sikraj gęstego boru otworzył przed nami porażone w mroku pola. Nataniel czuł się już bardzo zmęczony jazdą, a że droga była dziurawa, jechaliśmy wolno, niepewnie. Mocne wleżysko czyniło wśród chmur spustoszenie i co pewien czas na czystym ekranku nocnego nieba ukazywał się księżyc.

W taką to właśnie chwilę wydosłaliśmy się z sosnowego boru. Było widno, woda w rowie błyszczała księżycem, jak rozpalona do białości szlaka. Za rowem kilkanaście z rzadka rozrzuconych drzew — stare dęby, dwa rzędy rosochatych grabów. Z początku sądziło się, że to reszta wyrabianego lasu, potem w rozstawieniu drzew zastanawiała dziwna regularność. Między drzewami wicherzyły się krzewy, koniec alei, grabowej (była to bowiem chyba aleja) wleczyło małe wzgórze, a za nim coś, jakby obalony zgruchotanego pałacu, odłamki marmurowych, bielejących w nocy kolumn stojących obok pni dorosłych dębów.

Nataniel zgasił reflektory, wyszliśmy cicho z samochodu. Osłonki klującymi krzakami, zapaliliśmy papierosa.

— I co dalej, Natanielu? — ziewnąłem. Wiatr szarpał ciszą nocy dalekim naszczekiwaniem psa. Gdzieś w ciemności samotnie błyszczało światło jakiejś zagrody. Czekał mi pięć, dziesięć, piętnaście minut. Potem mistrz wdeptał w ziemię papierosa i zadecydował:

— Poprosimy o nocleg w tej chałupie. Oczy mnie boją. Nie mam siły wracać do domu.

Zagroda stała tuż pod lasem i należała do drwala, który — jak się okazało po wstępnej rozmowie — był wdowcem i mieszkał tu samotnie z dorosłą córką. Przyjął nas raczej niechętnie, burkliwie, skusiła go jednak obietnica pokaznego wynagrodzenia, jakie mistrz ofiarował za nocleg.

— Bedzieta sypiać w świętej izbie. Roboków tam ni ma. Jedni sypiali i dobrze im było. Tyż Przekleńnik przyjechał obejrzyć.

Zainteresowałem się:

— Kiedy przyjechał? Co to za jedni?

Odpowiedział powściągliwie:

— Już z tydzień będzie, jak tu byli. Jo wim, co za jedni? Nie opowiadali się.

— Młoda, czarna kobieta? Grybas? I taki podobny do szurka?

Wzruszył ramionami.

— Jak pan wiesz, to czego się pan pytasz?

Drwał był wysoki, rozrostły, kudłaty, brwi gęste i siwe, podobne do zeschłego mchu, zastaniały oczy. Poruszał się ociężale, mówił wolno, z trudnością. Córka stanowiła jego przeciwieństwo — drobna, zgubiona w faldach pasiastego welniaka i w białej chuście szczerlinie okreconej wokół głowy i szyi. Czarne jej oczy biegły ku nam ciekawie.

Pod ścianą izby stało łóżko pokryte samodziałową narzutą. Rozbierając się, Nataniel rzucił na nie płaszcz i szal jedwabny, duży jak chusta. Dziewczyna natychmiast chwyciła go w palce, zarzuciła na głowę i poczęła się krygować przed lustrem.

— Gałanty — zachichotała.

— Ładny? — zdziwił się Nataniel. Słanaż za plecami dziewczyny, zdawało się, drżący. Chłop krzyknął na córkę, furlnął szal w locie na łóżko, dziewczyna zakrzętała się przy garnkach, a mistrz, spokojny jak zwykle, usiadł na małym stołeczku przy piecu. Między kolana wzięł pieniek i sielkierą drobnił na nim chrust, dorzucając do paleniska.

Kucnąłem na ławie w kącie, zmęczony i senny. Obok leżał kozuch baran, pachniało

złe wyprawioną skórą. Drwał spojrzął groźnie na córkę i wyszedł z izby trzasnąwszy drzwiami. Dziewczyna zaśmiała się drobno, podniecająco. Nataniel przestał ciąć chrust i wodził za nią ciężkim, sennym wzrokiem.

Drwał wkrótce wrócił z garnuszkiem śmietany, zezował ponuro na córkę. Nataniel znowu rąbał drzazgi i sycił płomień pod saganem.

... Ocknęło mnie z drzemki szuranie sprzętów. Na środku izby postawiono niski stół, a obok dwie jeszcze niższe ławki. Dziewczyna odcedziła wodę z saganu i na wielką, jak miednica miskę wysypała parujące ziemniaki. Ubila je, zgarnęła na bok, okrasila słoniną i wiała barszczu zablonego śmietaną. Potem położyła cztery łyżki.

Jadłem ostrożnie, półgębkiem. Moja łyżka ciągle zahaczała o czyjąś łyżkę, barszcz rozlewał się w dalekiej drodze do ust. Inaczej Nataniel, wielki poeta, któremu zdarzało się brać udział w najwspanialszych biesiadach. Manewrował łyżką zręcznie jak akrobata, raz po raz podbierając chiopu na czarno uprażone skwarki. Ten coraz bardziej ponurzał. W milczeniu siorbał barszcz, dmuchał głośno na parujące ziemniaki. Gadał tylko mistrz Nataniel, budząc w dziewczynie chichoty.

— Słyszeliście, gospodarzu, jak to jechali razem pociągiem ksiądz pleban i rabin? Ksiądz pleban wyłożył przed sobą śniadanko, szyneczkę z bułeczką, i grzecznie poczęstował rabina. Rabin pokręcił głową: „Nie mogę, księże, jeść szynki”. „Dlaczego?” — zdziwił się pleban. „Zakon mi nie pozwala”. „Nie pozwala? Szkoda, to takie dobre...”. Podróżni roześmiali się głośno. Rabin przeknął złośliwość plebana i postanowił się zemścić. Ksiądz już szykował się do wyjścia, gdy rabin począł go miłe żegnać: „A pozdrówcie, księże, waszą czcigodną małżonkę”. Pleban odparł z oburzeniem: „Nie mam małżonki”. „Dlaczego?” — zdziwił się rabin. „Zakon mi nie pozwala”. „Nie pozwala? Szkoda, to takie dobre...”

Przestałem jeść, oszłobiony prostac'wem tej anegdoty. Dziewczyna dawała się śmiechem. Po drewnianej twarzy drwała nie przemknął nawet cień uśmiechu. Tyle że burknął do córki:

— A weź z komory jeszcze dwie poduszki. I obleczenie daj nowe. Miastowe ludzie lubią miętko...

Na nocleg zaprowadził nas gospodarz do sąsiedniej, świętej izby, gdzie stały dwa rozległe łoża, śmierzdzało wapnem i wisiał u sufitu pajak z barwnej bibułki.

Pościel tchnęła świeżością, ale była wilgotna, oślizła. Rozeszpany chwilą drzemki, pośpiesznie zrzuciłem z siebie ubranie. Mistrz Nataniel jakby oczekując na coś, niespokojny jak ćma krążył wokół stołu z lampą. Słyszeliśmy przez ścianę, jak w kuchennej izbie drwał lajał córkę, każąc jej przynieść wody. Potem w sieni zabrzęczała wiadra.

— Przepraszam cię, Tomaszu — szepnął Nataniel. Wybiegł do sieni, otuliwszy szyję swym obszernym szalem.

Okno gościnnej izby wychodziło na ogród. Tam także była i studnia. Rozbierając się, widziałem cień dziewczyny, pochylającej żuraw. Później obok zamajaczył kształt mężczyzny. Dziewczyna zdjęła z żurawia kubelek, postawiła go na ziemi. Chwilę stała nieruchomo. I powoli, jakby wabiona głosem, poczęła iść wolno w wyciągnięte ramiona mężczyzny...

Odwrociłem się gwałtownie od okna. Odeciał mnie sen. Wśliznąłem się w chłodną pościel, szcękając z zimna zębami. Nataniel wrócił po pół godzinie, zauważyłem, że nie miał szalik. Spojrzałem na niego przelotnie, i widząc moje przymknięte oczy, usiadł na krzewi swego łóżka. Rozsznurowując buciki, mówił półgłosem z Goethego:

„Błogości i szczęścia do syta użyłem,
I piękność posiadałem, we władzy jej byłem;
W orszaku wiosennym podeszła wspaniała,
Poznałem ją, schwyciłem ją, przy mnie
została...
Do ofiar cię zmusi i powiesz jej: Prowadź,
I będzie swym mieniem i wiedzą szafować”.

Upadł z trzaskiem bucik. Nataniel podjął nową strofę i następną nogę.

„Zstępuje na ziemię wieloma zjawami,
Na wodach unosi się, stąpa polami
I miara ją święta blaskami usławnia,
I tylko przez formę się treść uszlachetnia.
Potęga najwyższa nią, przez nią się płaci
W młodości ją ujrzał w kobiecej postaci”.



Stuknął drugi but. Teraz mistrz podbiegł bosy do stołu i zdmuchnął lampę. Wracając do łóżka, zapytał cicho:

— Czy naprawdę już śpisz, Tomaszu? Milczałem. Dusila mnie wściekłość i nienawiść do Nataniela.

ROZDZIAŁ IV ZNOWU NA TROPIE

Odkąd przywiozłem z Sulejowa darowany mi w testamencie Pronobisa portret opata Bernarda — odczuwam w swym domu nieustanny niepokój. Portret powiesiłem na ścianie naprzeciw biurka i od tej chwili wciąż odnośnie wrażenie, jakbym był prześladowany. Próbuję pisać zdania o opacie Willermie — lecz jakby sprowokowane obecnością Bernarda z nieodpartą siłą stają w pamięci sceny opisane w przedśmiertnym liście Herakliusza. Wyobraźnia odgrywa przede mną sceny, kiedy to Pronobis wywabiony światłem w ruinie wyszedł ze swej izdebki i zemdlał przejęty widokiem cysterskich habitów. Potem widzę ów moment leciutkiego drgnienia kłami, słyszę tupot kroków w murytańskiej wieży i białe cienie w mroku nocy. Pokpiwam, szudzę z siebie, a przecież i mnie ogarnia strach. Czego się lękam? Nie wiem. Niekiedy myślę, iż boję się portretu Bernarda, jego bladej twarzy i wzroku przesłudującego mnie w każdym zakamarku mieszkania.

Z początku uwalniał mnie od niego sen, później i we śnie jął mi się on jawić w towarzyszywie koszarów i zwidzeń. Począłem traktować swój pokój jako nieprzytulny dom noclegowy, uczyłem się pisać w czytelnich, w salach bibliotecznych.

„Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, zdecydowany pracować cały wieczór w Miejskiej Bibliotece Publicznej, poprosiłem bibliotekarza o „Przyczynkę do działalności opata Piotra” — książkę znaną mi dotąd jedynie z tytułu wyszczególnionego w bibliografii przygotowanej przez Pronobisa. Wracając mi niepokojną żółtawą książeczkę, bibliotekarz zerknął na jej konto i zażartował uprzejmie:

— Dwadzieścia lat leży u nas na półce. Przez ten czas nikt nawet do niej nie zajrzał. A dziś, co za urodzaj na czytelników! Pan jesteś drugim, który ją wypożycza.

Drgnąłem zaciskając palce na wężej okładzinie, lecz zapytałem obojętnie:

— Któż był jej pierwszym czytelnikiem?

— Zdaje mi się, że jakaś kobieta...

— Młoda?

— Nie pamiętam. Tylu ludzi tu przychodzi...

Spojrzał na karton, gdzie pod numerami miejsce w czytelni notował wypożyczone książki.

— Zajmowała dwudziesty ósmy stolik. Oprócz tej książki czytała A 21 989.

Rzekłem bez chwili wahania:

— Czy może mi pan pożyczyć również A 21 989?

Aż usta otworzył. Na moment podejrziłwie przymrużył oczy, potem wzruszył ramionami i podał żądaną książkę.

— Dać panu także dwudziesty ósmy stolik? — zapytał z niepokojem.

Rzuciłem niedbale odchodząc w głąb czytelni:

— Już wcześniej wyznaczył mi pan dziesiąty, Odetchnął z ulgą.

Pośpiesznie zapaliłem zielonkawą lampę na swym stoliku i drżącymi z niecierpliwości palcami odchyliłem okładkę A 21 989. Były to „Pamiętniki” Chłędowskiego, wydane przez Ossolineum.

(d. c. n.)





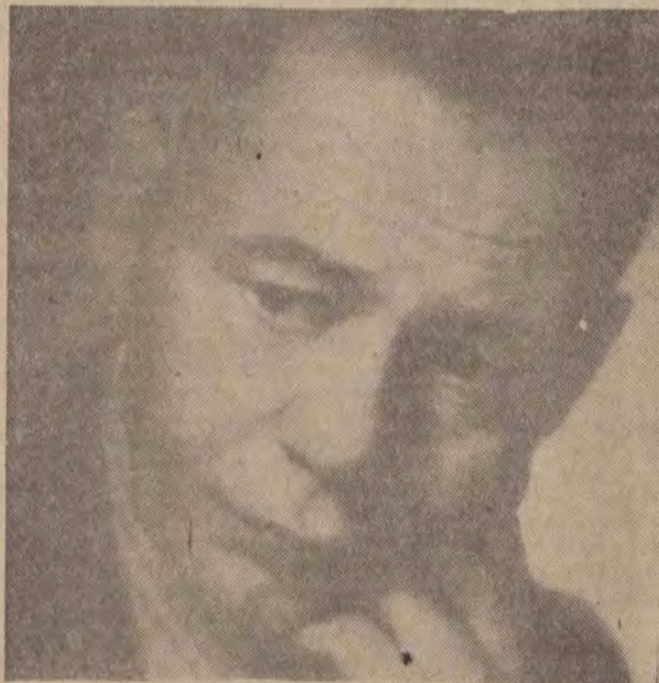
Wokół Jesienina

Jesienin był towarzyszem mojej młodości. Czy zresztą tylko mojej? Wszedł do literatury znieznacka, ku zdziwieniu wielkich sław, no i własnemu. Rok 1915. W Moskwie moda na chłopów. Poczytany Mikołaj Klujew (poeta raczej mierny) przepychał na łamach pism różnych „inteligentów przebiezańców”. Aż nagle zjawia się prawdziwy chłop z samogonem i równie mocną liryką! Przy pomocy Klujewa wychodzi pierwszy tom Jesienina, „Raduni-ca”. Kariera! Sukces uderza do głowy! Anatol Marienhof, współtwórca grupy imażynistów i przyjaciel Jesienina, wydał o nim książkę pt. „Powieść bez kłamstwa” (1927). Wszyscyeli brzydkiego skandalu ta książka porwie, a miłośników talentu Jesienina — przerazi.

Okres obecny zalegalizował właściwie zwycięstwo poety. We wsi rodzinnej Jesienina, Konstantonowo (gubernia riazkańska) powstało muzeum. Zaczął się run na Jesienina. Wydawnictwa i pisma, krytycy i czytelnicy zaczęli po prostu uganiać się za wierszami Jesienina. Ten nieomal hazard spowodował protest grona poetów i krytyków radzieckich, opublikowany w „Literaturnoj gazietie” z dn. 25 lutego br. Warto ten protest przytoczyć, gdyż jest on znamienity dla zrozumienia przełomu, jaki dokonał się w społeczeństwie radzieckim i w płaszczyźnie stosunku (brri! — okropne wyrażenie) do spraw literackich.

Oto ten list-protest.
„W ostatnim czasie szereg wydawnictw podjęło się wydania utworów S. Jesienina. Ponieważ archiwa poety przechowywują się w Moskwie i Leningradzie, a dorobek literacki Jesienina w ogóle nie został opracowany, ani nawet opisany, Związek Pisarzy ZSRR powołał komisję społeczną dla zbadania dorobku poety. Jednakże poszczególne jednostki i wydawnictwa usiłują ominąć społeczną kontrolę, aby przechwycić prawo pierwszej publikacji i zdobyć w oczach czytelników jak gdyby „priorytet” w rozpowszechnianiu i propagowaniu utworów wybitnego radzieckiego poety. Tak na przykład redaktor naczelny wydawnictwa „Rosja Radziecka” — I. Smirnow, bez porozumienia ze Związkiem Pisarzy i Akademią Nauk (gdzie w Instytucie Światowej Literatury im. Gorkiego przechowywane są zasadnicze archiwa S. Jesienina) zapowiedział pełne wydanie dzieł Jesienina w pięciu tomach. Publikacja takiego pierwszego pełnego wydania wierszy, prozy, artykułów i listów Jesienina nie może być dziełem wąskiego kręgu osób lub jednego tylko wydawnictwa. Publikacja taka musi być poprzedzona pracą naukowego kolektywu specjalistów — literaturoznawców i tekstologów. Uważamy, że wydanie wszystkich dzieł Jesienina trzeba powierzyć Instytutowi Światowej Literatury im. Gorkiego przy Akademii Nauk ZSRR, któremu zlecono wydawanie dzieł M. Gorkiego i W. Majakowskiego. Wydanie takie jest sprawą specjalistów, pisarzy i uczonych”.
A więc kłótnia o Jesienina?
To też znak czasu.

G. T.

str.
6

Grobowiec Warneńczyka

Piwnica zimna, mroczna, dzika.
Pusty grobowiec Warneńczyka.
Pusty? Nieprawda, w pustce leżą
Pozakładaly nietoperze.
Leci korowód: pyszczki rdzawe
Piskiem królewską głoszą sławę.
Tak, zapleśniały tu panterze,
W rdzę raczej niż w żelazo wierzę.
Rzucam piwnicę. Słońce wkoło.
Gacek mnie skrzydłem trzepnął w czoło.
Bulgarka, co grobowca strzeże,
Śmieje się: to nie nietoperze.
Strażniczka tu ćwierć wieku mieszka,
Swojaczka w grobowcowych zmierzdach,
Upewnia: to nie nietoperze,
Pokutujący to papież.
Ach zgoda — przytaknałem z cicha —
Słusznie, by w grobie Warneńczyka
Pokutowano za grzech szczerze,
Ale ja w szczerść tę nie wierzę.
Warna, 1955.

U rudno ogarnąć w kilku zdaniach całą bogatą i złożoną twórczość STANISŁAWA CZERNIKA, poety, powieściopisarza, eseisty, krytyka literackiego, pamiętnikarza, badacza folkloru poetyckiego, antologisty, twórcy głośnego w dwudziestolecie międzywojennym prądu poetyckiego — autentyzmu, przedwojennego redaktora „Okolicy Poetów”, a obecnego redaktora Wydawnictwa Łódzkiego, wielokrotnego prezesa oddziału łódzkiego Związku Literatów i laureata nagrody m. Łodzi za r. 1955. Sądzymy, że dla czytelnika najciekawsze będą bezpośrednie odpowiedzi Autora na stereotypowe trzy pytania naszej Redakcji:

RZECZY ZMYŚLONE

Na wstępie muszę przeprosić Rypin i jego znacznych mieszkańców. Chcę, żeby mnie dobrze zrozumieli. Użyłem powyższego tytułu nie dlatego, żeby ich zrupać, lecz przeciwnie, żeby pochwalić. Zresztą nazwa Rypin wcale, moim zdaniem, nie pochodzi od prozaicznej czynności rypać, lecz od poetycznej nazwy rzadkiej i delikatnej rośliny z gromady paprotników, z rzędu poryblinowatych, zwanej po łacinie ISOETES, a po polsku LESZCZOWNIK, PORYBLIN albo RYPINA. Jest to więc nazwa, moim zdaniem, wcale piękna, a nawet, moim zdaniem, bardziej czcigodna, niż nazwa Łódź, gdyż ta pochodzi od dzieła rąk ludzkich — łódki, a tamta jak cała w ogóle przyroda, moim zdaniem, od dzieła rąk boskich — rośliny. A co jest starsze, łódka czy roślina? Oczywiście, roślina. Wiadomo zaś, że co starsze, to i czcigodniejsze. Tądem tedy, moim zdaniem, rzecz jest udowodniona, że nazwa Rypin jest czcigodniejsza od nazwy Łódź. To mówię ja, łódzianin, ocenicie to z łaski swojej, o cni rypinianie! A więc do rzeczy, czyli jak mówi

stare i sławne przysłowie rypińskie: „O drogę nie pytaj, do Torunia rypaj”. A propos: czy Łódź ma swoje przysłowie? Co prawda nie tak stare i sławne, jak Rypin, ale ma: „Kto mieszka w Łodzi sam sobie szkodzi”. No więc nawet przysłowie łódzkie mówi źle o Łodzi, a wiadomo, że przysłowia są mądrością narodów. Rypin właśnie dlatego jest tak sławny, że ma, moim zdaniem, odwagę być sobą i żadnego innego miasta nie naśladuje ani być nim nie chce. Ma swój charakter i swój honor. Łódź przeciwnie. Łódź zawsze się siebie wypiera i ciągle chce być czymś innym niż Łódź. Raz nazywa siebie „polskim Manchesterem”, to znowu „polskim Lyonem”, to wmaśnia sobie, że przypomina Kraków, to znowu, że Warszawę, a staje ostatecznie koniec końcem, moim zdaniem, na tym, że przypomina Rypin. To znaczy imituje Rypin i oczywiście, jak każda imitacja, moim zdaniem, przemienia się w karykaturę. I to monstrualną. Bo wyobraźcie sobie, że Łódź to nie innego tylko sto Rypinów razem w kupie. Tyle akurat Łódź jest większa od Rypina. Ale Rypin leży nad piękną zielonobrzegą i bystrowodą rzeką

— Nad czym Pan obecnie pracuje?
— Nad wspomnieniami. Już w poprzednich książkach, w „Cieniach różowych gór” i w „Ucieczce za Czeremosz” sięgnąłem do materiałów pamiętnikarskich. Teraz zwróciłem się do wspomnień wcześniejszych. Na tle ich powstaje „Chata”, opowieść autobiograficzna.
— A pańskie plany na przyszłość?
— Przewiduję osobny cykl „Pióro” — wspomnienia literackie, wreszcie „Drogi” — z pobytu w obcych krajach.
— Co Pan wydaje w najbliższym czasie?
— Naktadem Wydawnictwa Łódzkiego ukaże się w „Bibliotece Poetów”, seria 1953, tomik wierszy „Stary piąg” oraz opowieść z 1939 roku „Wichura”.
Red.



Na przełęczach Atlasu

Czas, który mierzy się burzą,
Przebiega przełęcz gór,
A góry dobrze mu wróżą:
Czas, który składa się z burz,
Do martwych dobiegnie chmur
I będzie ostatnią burzą.
Lecz z tego mała poeiecha,
Gdy się przejeżdża przełęczę
Martwiejącego Atlasu.
I z tego: że się uśmiecha
Na stoku gór widmo lasu,
Że w skalach mienia się tęczę,
Że wiatr nas wita na stepach,
I żółte kępy janowca
W oddali jak swojski rzepak.
Jak polski, nasz, wiejski rzepak.
Ciemno. Nostalgia jest ślepa.
Alger, 1944.

TYLKO DLA NAIWNYCH!

Nie róbcie z Łodzi

MARIAN PIECHAL

Rypiną, a Łódź co zrobiła ze swoją uroczą rzeką Łódką? Zasyypała ją! Otóż w przeciwieństwie do Rypina Łódź, moim zdaniem, wszystkie swoje zalepty i cnoty, i talenty zasypuje albo wyduła z siebie czyli eksportuje, a swoje wady, grzechy i przyrodzone niedobory eksponuje, nosi na wierzchu, chwali się nimi, jak garbem i hoduje jak najdłużej.

Weźmy na przykład sprawę talentów. Łódź ma talenty, ale je zaraz eksportuje. Gdzie? Byle gdzie, byle miejsca nie zagrzały w Łodzi. To do Warszawy, to do Krakowa, a nawet — he! — za granicę. Nie chcę przez to powiedzieć, że to, co zostało w Łodzi, pozbawione jest talentu. Moim zdaniem, jest wprost przeciwnie. Trzeba już nie talentu, lecz naprawdę geniuszu, żeby móc mieszkać i tworzyć w Łodzi, nie tracąc wsiat i życie, a przede wszystkim w siebie. Nie wiem, jak inni, ale ja co do siebie pod tym względem, to znaczę pod względem geniuszu, nie mam absolutnie żadnych wątpliwości. Czytelnicy, a zwłaszcza moi kole-dzy po piórze, mogą wątpić, ale to tylko utwierdza mnie w moim

przekonaniu, bo przecież nie można wątpić w coś, co nie istnieje. Zresztą i ten jeszcze fakt utwierdza mnie w tym moim przekonaniu, że wszyscy geniusze, zarówno u nas jak i za granicą, rodzą się przeważnie na prowincji. Żaden geniusz, moim zdaniem, prócz Curie - Skłodowskiej, nie urodził się w Warszawie, ani Goethe w Berlinie, ani Puszczyk w Moskwie, ani Homer w Atenach, ani Dante w Rzymie, ani Balzac w Paryżu. Jest wprawdzie przysłowie: „Nawet w Paryżu nie zrobią z siewki ryżu”, które świadczy, że wielkie miasto może coś z czegoś zrobić, ale to coś musi już być czymś, a nie niczym czyli siewką. Partynularz polski zrodził Kościuszkę, Mickiewicza, Chopina, Conrada, Sienkiewicza, Reymonta, Tuwima, Millera, francuski — Flauberta, Cezanne'a, Napoleona i Saganekę, rosyjski — Gogola, Tolstoję, Jesienina i Litwiniuka, choć dopiero Warszawa czy Moskwa, czy Paryż, czy inna metropolia świata, stwarzając im odpowiednie warunki i otaczając ich sprzyjającą atmosferą, uczyniła z każdego ich nazwiska „pacierz co płacze i plorun co błyska”, jak mówi poeta,

Jak sfruwają „Piórka“

Są tematy, które człowieka dręczą, którą nosi się w sobie jak drzewo trudną do wycięcia i które można usunąć z siebie dopiero po wielu wysiłkach, nieraz po dokonaniu zabiegu operacyjnego na własnym sercu.

Są tematy dziwnie przekorne i dziwnie śliskie, które łapie się jak węgorze, są tematy, które łapie się jak raki, puszcza je z krzykiem, bo nie tylko nie dadzą się złapać, ale jeszcze same szczypią.

A jak wygląda sprawa z zadaniem sobie tematu i szybkim wykonaniem? Przecież wielu fraszkopisarzy pracuje w redakcjach i musi pisać w błyskawicznym tempie na żądany temat. Czyżby istotnie skazani oni byli na oczekiwanie natchnienia, co w praktyce byłoby zaprzeczeniem odpowiedzialnej chwili i równałoby się dezaktualizacji fraszki?

Ja sam w mojej praktyce przeżyłem fakt następujący: Pisałem kiedyś stałe fraszki dla „Dziennika Poznańskiego“ pod pseudonimem „Swierszcza“ (zaczęłem je pisywać w 1933). Owego dnia siedziałem pochylony za biurkiem i pisałem jakąś rozprawę o teatrze lalek, gdy nagle zadzwieczał telefon. Dzwonił ówczesny redaktor „Dziennika Poznańskiego“ — niedawny ambasador Polski Ludowej w Waszyngtonie — a obecnie wiceminister spraw zagranicznych, Józef Winiewicz. Powiedział mi: „Karol Hubert Roztworowski wystąpił z PAL-u (Polskiej Akademii Literatury).”

Wysłałem gońca, będzie za pół godziny, sądzę, że do tego czasu śpiewając upora się pan z fraszka na ten temat“.

Przyznam się, że gorący pot wystąpił mi na czoło. Wprawdzie ówczesny kurator dr Jan Jakubiec, człowiek naprawdę wyższego umysłu i wyższej kultury, specjalnym piśmem upoważnił mnie do pisania wierszy w czasie godzin biurowych, ale nigdy jeszcze nie zadawano takiego gwałtu mej muzyce satyrycznej, nie żądano ode mnie, abym w określonej ilości minut i na określony temat się wypowiedział. Nie wiedziałem, czy moja muza, schwytna tak zniecała za włosy, nie okaże się kapryśna i nie odmówi mi swego pocałunku.

Usiadłem zgnębiony, zaopatrzywszy się w czystą kartkę papieru i pióro. Nagle przypomniałem sobie tnie Roztworowskiego „Karol“, do tego włączył się fragment piosenki Bałuckiego „czy ci nie

żał... kilka sekund i fraszka była gotowa:

Był PAL
I PAL diabli wzięt
Karolu, czy ci nie żal
Odczłodzić od tych foteli?

Nim przyszedł gońiec, fraszka znajdowała się w kopercie.

Oto klasyczny przykład funkcjonowania mózgu fraszkopisarza, który w wypadkach niespodziewanych, przy sprzyjających warunkach, działa jak dzwonek elektryczny.

Oczywiście, że ten typ fraszki jest najtrudniejszy, rezultat najbardziej ryzykowny i zwykle najmniej trwa. Świadczy o tym m. in. fakt, że fraszka ta nie weszła do „Piórka“, bo dzisiaj wielu ludziom trzeba by wyjaśniać, co to jest PAL, czym się różni od zwykłego pala, jakie Chrobry bit w Odrę.

Niekiedy rodzą się fraszki w sposób inny. Budzę się rano i po głowie uporczywie latają mi pewne słowa, które łączą się w figlarne zdania. Jeżeli nie chce mi się wstać i pozwałam odrzucać fraszkom, jak kwiat pozwala odrzucać motyloom bez protestu, to myśl często gną mi na zawiesz. Najpóźniej przy drugiej fraszce muszę już siedzieć przy biurku z piórem w ręku, aby wiatr nie zwał mi „Piórek“ bezpowrotnie.

W takich chwilach mózg mój działa po prostu z błyskawiczną szybkością. Fraszki rodzą się jedna po drugiej, czasami w związku ze sobą przyczynowym, czasem słownym, a czasem w ogóle bez związku. Niekiedy atakują tematy, które męczyły mnie i gryzły poprzedniego dnia, niekiedy jestem tylko posłusznym stenografem tego



go, co swobodnie przeze mnie przepływa, czasami świadomie podnoszę diapazon, kusząc się o fraszki tak zwane „wiecznościowe“, niekiedy daję upust swemu niezadowoleniu i nienawiści, a jak że często usiłuję oddać głębokie wzruszenie, jakim napelniają mnie las, wieś, kwiaty, góry, morze, zjawiska świetlne u progu i u końca dnia.

Kiedyś zanotowałem sobie, jak długo trwało to zjawisko, podobne do wybuchu wulkanu. Otóż pewnej kwietniowej nocy w Zakopanem pisałem od godziny 1.30 do godz. 3.15. Napisałem 56 fraszek. Wszystkie one powstały przy biurku w zawrotnym tempie. Kilka z nich dotyczyło tematu, który od dawna mnie pasjonował. W ciągu dnia napisałem już tylko jedną fraszka, metodą improwizacji.

Kiedy pan z okienka w PKO nie chciał wypłacić mi pieniędzy z książeckiej oszczędnościowej mego syna, twierdząc, że tylko matka ma prawo podejmowania pieniędzy z książeckiej nieletniego dziecka, przypomniała mi się sentencja księżka, że tylko matka zawsze jest pewna. I do fraszek napisanych w ciągu nocy, dorzuciłem ostatnią, która istotnie narodziła się z powietrza:

To najsmutniejszy paradoks
zapewne,
Ojcowie są niepewni, bo matki
niepewne.

Oczywiście, że z tych 56 fraszek napisanych w ciągu nocy, ocalałe tylko pewna część, najwyższej 10—15, resztę trzeba będzie zalfować, albo zgola odrzucić. Zapytuję mnie często czytelnicy, skąd się wziął tytuł „Piórka“. Narodził się on i nie narodził w mej głowie. Narodził się, bo napisałem fraszka:

Na wagę złota nie cen moich
fraszek.

Ale na piórka, które roni ptaszek,

„Szpilki“ umieściły wówczas szereg moich fraszek, a zamiast zwykłego tytułu „Fraszki“ zdziwiony, ale zarazem uciechany ujrzałem nad nimi tytuł „Piórka“. Nadał je Wiesław Brudziński. I tak zostały „Piórkami“. Jakąż bowiem wagę posiadają takie np. wiersze:

Cóż za monstrum klujące we mnie
się zanurza?
Tak syknęła spiuwaczka, gdy w nią
wpadła róża.

albo wiersz o pensjonarce:

Właściwy człowiek
Od spuszczenia powiek.

Niektórymi moimi fraszkami poczuły się dotknięte kobiety. Np. taką fraszka:

Kto mówi: baba diabła warta,
Doprawdy, bardzo krzywdzi
czarta.

Przecież to tylko żart. Mój prawdziwy stosunek do kobiet zawarł się w wierszach:

Cóż mi tam boskie najstraszniejsze
gniewy,
Bóg Adamowi raj wziął, nie wziął
Ewy.

Ta fraszka jest ze wszystkich najstarsza, powstała chyba jeszcze w roku 1923 lub 1924. Nie tylko w imieniu Adama, ale i własnym wyraziłem miłość mą do kobiet w sposób następujący:

Adam z raju wygnany szepnął:
I cóż z tego,
Pókim Ewy nie stracił, to nie
straconego.

Podobnie i Kraków poczuł się dotknięty niektórymi przyczinkami. (W tych dniach ukaza się II wydanie „Krakowskich Piórek“ rękł. Wyd. Liter. w Krakowie). Tu może więcej już było słyszano, bo wiele cech krakowian może razić. Ale i tu chyba więcej żartu niż krytyki. Pozwolę sobie zacytować trzy fraszki krytyczne:

KSENOFOBIA — LĘK PRZED OBCYMI

Kraków Krakowem nazwał,
Gdy pierwszego zakrakali.

ANALOGIE

Kawa — cykorią
Kraków popsuty historią.

KRAKOWSCY ŚWIĘCI

Klitus, Bajdus i Centus — to
krakowscy święci.
Rzecz dziwna — w kalendarzu
całkiem pominieli.

Poruszyłem tutaj bolączki Krakowa. Ale już w innych fraszkach jak np.

Kraków to pryzmat
przez który pięknieje ojczyzna
lub:

SMAK DZIECIŃSTWA

Na piecykach ulicznych pieczone
kasztany

I smak dzieciństwa w nich
zaczarowany

wyczuć łatwo można moją miłość do tego miasta. A taka fraszka jak „Ugrzeszczony deszcz“ to chyba raczej żart niż dogryzki.

Gdy tu deszczek kropi,
To bardzo uważa,
Czy się ktoś nie gniewa,
Czy ktoś nie obraża.
Z góry krzyczy: „przepraszam“,
Przepraszam, że zraszam.

Wiele z moich fraszek jest bardzo nieprzyzwoitych.

Tak przynajmniej twierdzą moje cioci. Te fraszki są naprawdę najniezdrowsze i najbardziej natretnie. Weale ich sobie nie planuję. Powstają zniecała, rodzą się z radości życia, z mojej miłości do świata, a do kobiet w szczególności.

Najpopularniejszymi stały się:
Kaźda jej pozycja,
To już propozycja.

Cnota z okazji razem noc
przespały,
Cnoty nie było, kiedy razem
wstały.

Fraszka o równowadze:
By równowaga nie była
zwichnięta,

Podnosząc sukienkę, spuszczała
oczęta.

To wszystko żarty. Ale mówiąc serio — i satyrycy czasami mówią serio — mam w sobie chęć ulepszenia, zmniejszenia i podwyższenia świata. Wierzę w człowieka, wierzę w jego zdolność do rośnięcia i dlatego sukces literacki cieszę się nim tylko wtedy, gdyby amatorzy mych fraszek wyciągali z nich konsekwencje dla swego życia, gdyby poprawiali swe charaktery, gdyby stawiali się lepsi i radośniejsi. A nawet — to już pewne drobniaki — gdyby nie deptali trawników i nie śmiecili.

Z cyklu: Jakie życie, taka śmierć

GULIANO

Guliano nie był ani zły ani dobry, mądry ani głupi. Nie był szczęśliwy ani nieszczęśliwy. Guliano nie był... Po prostu określając go trzeba zacząć od nie.

Jeżeli był to tylko w tym punkcie, z którego wahało zegara wychyla się kolejno w lewo i w prawo.

Działal w nim jednak bezwład rozpedzonej materii, który doszedłszy do pewnego poziomu zatrzymuje się i usycha.

Właśnie w tym czasie Guliano zacierał się na krąg dzieciach i powoli rozpływał, nie wywołując wokół siebie żadnych odgłosów, wstrząsów czy promieniowania.

Pewnego razu — mówiono — stoczył się z pochyłości wzgórze nad brzeg rzeki i z daleka wyglądał jak głaz opływany falami. Powoli stawał się grudą, płaskiem, ziemią. Władano jak rozkosz z niego spływała.

Mówiono, że porwał go prad przepływający i rzucił na dno. Plotkarstwo matych miasteczek włoskich jest absurdalne.



REFERENT KALIN

Referent Kalin miał żonę i dzieci. Żona zaspokajała jego niewygodne wymogi. Dzieci cieszyły.

Uposażenie referenta Kalina w zupełności wystarczało, by w nim i jego rodzinie mogła się odbywać nieprzerwana przemiana materii.

Prócz tego miał pasję, która stawiała go wysoko ponad tą ostatnią. Był referentem.

Toteż, mimo że wzrok miał coraz krótszy — świat mu coraz bardziej ogromniał.

Referent Kalin nigdzie nie jeździł — trwał, co wzbudziło w nim przekonanie, że musi być chyba środkiem tego ogromniejszego świata.

Bóle rwące szerokim traktem przez jego powłoki brzuszne, od dołu ku górze, wysoko — cięły w nim świat na noc i dzień.

Rozrywały go grawitujące światy. Ot, sukini sym, obłazi się kapusty — rzekł dyrektor, widząc czerwoną ranę na brzuchu Kalina.

Nieszczęsny nie poznał rozpadającego się świata.



MR. OKLISTEX

Nie bez kozery człowiek ma oczy. W oczach człowieka wszystko się maluje. Malarsze to przenoszą na płótno, papier, dyktę, ścianę i jeszcze inne rzeczy.

Każdy oczywiście patrzy innymi oczami. Na całe szczęście Gduby tak nie było, to mielibyśmy ogromny tłok i niesamowite stale sceny przed oczami.

Mr. Oklistex miał otwarte spojrzenie. Toteż zmapazynował — nie zaniedbując równocześnie jedzenia, piła tudzież spacerów z narzeczoną — ogromny kapitał kształtów w swoim dość okazałym wnętrzu.

Kapitał ten więc było jego zdziwienie, gdy po paru kolejnych wstrząsach jądrowych, jakich doznał w kwiecie wieku, wyładowawszy wraz ze skorupką potłuczonych ziemi na obecnej planecie — zaczął rozpokowywać.

Dostawnie żaden kolor i kształt nie był mu przydatny w nowoodkrytym świecie.



MICHELE

Doprawdy instrument to nie do pogardzenia. Gdy się mówi: on opanował znakomicie język, to Michele otwiera na przestrzał twarz i demonstruje.

Czerwony ągający tuóbar swą wymowę: związa się w trąbkę, rulonik, pochewkę i znak nieskończoności. A to już coś znaczy.

Michele uczynił z czerwonego i leniwego zwierza mistrza akrobatycznej sztuki kiperia i wirtuoza. Toteż wszystkich doznał jest język pana Michele.

Ach, kobiety. Jakże one zadroszczała panu Michele tego wzniosłego misterium wchłaniania świata językiem.

Lecz każdy podróżuje, każdy zapomnieć może swój bilet w domu.

Michele byłby na pewno uczył aniołki w niebie słów trel; lecz gdy przyszedł czas ostatecznej próby — zapomniał języka w gębie.

Niestety nikt tu na ziemi nie zna adresu pana Michele,



OLABO

Dominiującą cechą Olabo z Gaga był nos. Wszystko inne gnieło w cieniu. Zdawało się, że dalsze partie Olabo, to tylko niedne przydatki, służebnie uspaniałego nosa.

Nikt nie rodzi się od razu z nosem. Na taki nos z prawdziwego zdarzenia trzeba zapracować. Toteż Olabo skoncentrował się w tym szlachetnym narzędziu cały.

Niebawem zaczęto mówić: Tu trzeba mieć nosa i Olabo z Gaga przybywał niezłocznie.

Tak intensywny był jego kolor, że biegł swobodnie po nocy na najdalsze jej peryferie i jasno było jak pod latarnią. Gdy świt się budził Olabo odrzucał natretny róg dnia, zawijał się w koldre i dopiero w sam środek czasu wpiął trumfjalnie.

Co się zowie robił karierę. W tym stanie rzeczy zapragnął być pomnikową postacią. Za życia. Gdyż później nic nie wiadomo.

Staną więc na skrzyżowaniu nieba, ziemi, wody i powietrza. I staną. Latarnia czasu nieprzemijającego.

Możecie go zobaczyć, jak mruga porozumiewawczo nosem, sygnalizując wiatry.





Janina Kulczycka w swoim mieszkaniu w Moskwie.

Wileńskie wspomnienia

W 1937 roku odwiedził Polskę Szalapin. Koncertował tylko w Warszawie, Poznaniu i Wilnie, o które zawadził z sentymentu do starego przyjaciela z petersburskich jeszcze czasów Aleksandra Wileńskiego, wówczas kierownika muzycznego teatru „Lutnia”. Było to ich ostatnie spotkanie. Szalapin zmarł niedługo potem, a Wileńskiego zastrzeliło Gestapo na dworcu wileńskim w czasie okupacji.

Występ Szalapina był wielką sensacją w wileńskim światku muzycznym i niemuzycznym, przepojonym sentymentem do kultury rosyjskiej. Nic dziwnego więc, że wśród entuzjastów światowej sławy basa znalazła się primadonna „Lutni”, Kulczycka, dość obcesowo adorująca wielkiego gościa. Dla jego koncertu poświęca przedstawienie w „Lutni”, gdzie wypełniona po brzegi sala daremnie czekała na ukazanie się divy. Przedstawienie odwołano, a publiczność wybaczyła swojej ulubienicy ten nietakt. Zresztą ten i wiele innych uszło jej płazem, a to z powodu powszechnej sympatii i ekscentryczności, którą urozmaicała życie kresowej metropolii.

Przy jakiejś tam okazji przyszedł kiedyś z Warszawy werdykt zawierający Kulczycką w prawach aktora na przeciąg 4 lat, ale Warszawa była daleko, a publiczność żądała Kulczyckiej i werdykt ów rychło poszedł w zapomnienie. Bawiła więc dalej ze sceny „Lutni” publiczność wileńską i podwileńską przy codziennych kompletach na sali, bawiła jako „Piękna Helena”, „Czardaszką”, „Rose Marie”, Marlin z „Balu w Savoy’u”, kto by tam zresztą wyliczył wszystkie jej wcielenia sceniczne! Dość powiedzieć, że znakomicie dysponowana głosowo przeszła cały niemal repertuar operetkowy od klasycznego do najnowszego i nie było afisza bez jej nazwiska na czołowym miejscu. Zainteresowanie miasta nie ograniczało się wyłącznie do przedstawień. Chciwie łowiono wszystkie ploteczki ze świata aktorskiego, szczerzego co prawda liczątnie, lecz o wysokim poziomie artystycznym. Dowiedziano się tedy o zakulisowej rywalizacji Kulczyckiej i Halmirskiej o palne pierwszeństwa na scenie

„Lutni”. Tak czy owak prymat Kulczyckiej był w oczach bywalców teatru bezsporny, a popularność niezachwiana.

Bazarewski pisze w „Kierunkach”: „Tu działał najlepszy bodaj przed wojną w Polsce teatr operetki „Lutnia”. Skoro powiedziałem o operetce, nie mogę nie powiedzieć o czołowej divie tego przybytku pani Janinie Kulczyckiej, pięknej kobiecie i trochę wariatce, która potrafiła preparadować pewnego dnia dziewiętnasto-wieczną karetą zaprzężoną w czwórkę koni...”

W bodaj 1940 roku Kulczycka opuszcza Wilno udając się wraz z mężem swoim, radzieckim komisarzem Klimowem, na Wschód. Wyjeżdża w pełnym rozkwicie urody i wielkiego talentu śpiewaczego. I nie jest prawdą co pisze Bazarewski na łamach „Kierunków”, że nikt o niej więcej nie słyszał. Sprawa chyba wygląda jak w anegdotce o Mickiewicz, gdy zapytana kiedyś o niego bardzo leciwa sąsiadka z Nowogródka odpowiedziała, że biegał tu kiedyś Adaś, ale potem wyjechał z rodzicami i słuch po nim zaginął.

Kulczycka występowała w Związku Radzieckim na wszystkich większych scenach i estradach wiążąc z moskiewską Salą Kolumnową Zw. Zaw. Występowała wespół z innymi sławami m. in. Rajkinem. Oczywiście występuje i dziś, należy przecie do czołowych artystów ogólnozwiązkowego towarzystwa estradowego i nadal dysponuje pięknym głosem urzekającym jak dawniej. Ten właśnie głos w czasie moskiewskiej wizyty wprawił w zachwyty Ludwika Sempolińskiego i niżej podpisanego.

Odwiedziłem w lecie ub. roku w Moskwie „Polską artystkę”, jak ją nazywają sąsiedzi, w jej domu przy Furmannym Piereulku 15. Przyjęła mnie w małym pokójku zawieszonym fotosami i wielojęzycznymi afiszami. Pokój ten, jak się dowiedziałem, stanowi jej całe mieszkanie. Przywiozłem pozdrowienia przynajmniej dla połowy Polski, a specjalnie serdeczne dla zespołu łódzkiego Teatru Muzycznego czyli dawnej „Lutni”. Nie byłoby chyba źle, gdybyżżyci, pamiętający Kulczycką wielbiciele jej głosu, urody i talentu, mogli ujrzeć ją jak najszybciej na scenie w kraju. Jest to tym bardziej możliwe, że wymiana artystów ze Związkiem Radzieckim jest szeroka, a wizyta Janiny Kulczyckiej sprawiłaby publiczność polskiej szczególną przyjemność.

GERARD PUCIATO

W dniu, w którym niespodziewanie aresztowany został staruszek, podający się za powróconego z niewoli męża Marii Idaczyk — Wieluń, powiatowe miasteczko na krańcu naszego województwa, podzieliło się na dwa obozy.

Jedni skłonni byli widzieć w fakcie aresztowania starego złośliwe intrygi rodziny Idaczyków. Mówili: „Kazali go aresztować, powiedzieli, że to nieprawdziwy Ignac, bo ziemię żony sprzedał”. Drugim — nagle „otworzyli” się oczy. Każde zdarzenie, które dawniej upewniało ich w przekonaniu, że mają do czynienia z prawdziwym Ignacem Idaczykiem, teraz stawało się oskarżeniem, demaskowało go.

Tymczasem podczas dochodzenia prokuratorskiego ten tak niewinnie wyglądający staruszek wyrastał na jakiegoś koszmarnego oszusta. Z całej Polski zjeżdżały do Wielunia oszukane przez niego kobiety, nadsyłano akty licznych spraw sądowych, o zawsze ten sam rodzaj oszustwa — wchodzenie w prawa rodzin w celu osiągnięcia materialnych korzyści.

Idaczyk?... Mimo drobniagowych i długich dochodzeń, nie ustalono jego prawdziwego nazwiska. Oskarżony stwierdził, że sam już nie pamięta, jak się nazywał, pod wieloma bowiem nazwiskami wypadło mu występować. Wieluński akt oskarżenia zaczyna się od słów:

„...Oskarżam Antoniego Witkowskiego, vel Jana Kasiniskiego, vel Olaska, vel Antoniego Kalembę, vel Józefa Adamskiego, vel... Ignacego Idaczyka,

podobno urodzonego w Łodzi, karanego przez:

Sąd Okręgowy w Łodzi w 1925 r., Sąd Okręgowy w Warszawie w 1936 r., Sąd Grodzki w Ostrowie Mazowieckim w 1937 r., Sąd Grodzki w Łomży w 1937 r., Sąd Grodzki w Łomży w 1938 r., Sąd Okręgowy w Piotrkowie w 1946 r., Sąd Okręgowy w Łodzi w 1949 r., Sąd Powiatowy w Łasku w 1953 roku.

Oto jest z grubsza „życiowy” sędziwego staruszka i szlak jego oszustw. Warto wiedzieć, że podczas każdej z wymienionych wyżej rozpraw sądowych, odpowiadał on za co najmniej dziesięć oszustw.

Również i podczas wileńskiej rozprawy wypadło „dziwnemu” staruszkowi odpowiedzieć na raz za kilka przestępstw. Opuściwszy więzienie, gdzie odsiadywał karę za próbę wejścia w prawa rodziny Adamskich z Chechłą koło Pabianic — „w drugiej połowie lipca 1955 r. w Janowcu, pow. Piotrków, w zamiarze wejścia w prawa rodziny Watałów, kłamliwie zapewniał Bolesława Watałę, że jest jego bratem Kazimierzem, zaginionym w czasie działań wojennych w 1920 r.

W dn. 29 lipca 1955 r. w Zelenicnie, pow. Pajęczno, kłamliwie zapewniał ob. Kostrzewę i Stanisławę Dragon, że jest ich ojcem Kazimierzem, zaginionym podczas działań wojennych...”

Niedaleko jest z Sieradza do Wielunia. Osadzony w Domu Star-



Ignacy Idaczyk (falszywy)

CZŁOWIEK o 20 TWARZACH

ców w Witowie, po trzech dniach czmychnął i w styczniu zjawił się w Wieluniu jako Ignacy Idaczyk, otrzymał dowód osobisty, sprzedał ziemię swej żony...

Przykład wileński ukazuje mechanizm dokonywania tego typu oszustwa. Naiwność ludzka nie zna, niestety, granic. Z akt sprawy przytoczę inny fakt, historię próby oszukania rodziny Adamskich z Chechłą:

„...W dniu 4 lipca 53 roku rolnik Leon Zuwald powracał furmanką z targu w Pabianicach i na drodze napotkał staruszką-kalekę. Ten spojrzął najpierw na tabliczkę u wozu i zawołał: „Jak się masz Zuwald. Czy podwieziesz mnie do Chechły?”

Zuwald zdziwił się, że staruszek zna jego nazwisko.

„Nie poznajesz mnie?” — oburzył się staruszek. — „To smutne, że małe nie pamiętasz. A powiedz mi, kto z twej wsi w 1920 roku poszedł na wojnę i nie wrócił?”

Zuwald począł wyliczać:

„Nie wrócił Władek Gajzler, Marian Berner, Józef Adamski...”

„Adamskiego pamiętasz?” — przerwał mu staruszek.

„Jakżeby nie. Do szkoły z nim chodziłem.”

„No, a ile on miałby dziś lat?” — zapytał staruszek.

„Ze sześćdziesiąt...”

„A ile miał braci, siostr, ile ziem?”

Zuwald odpowiada na stawiane mu pytania. Mówi o koligacjach rodzinnych zaginionego, podaje różne szczegóły. Wreszcie staruszek oświadcza Zuwaldowi:

„No tak, rzeczywiście, zgadza się, pamiętasz dobrze Adamskie-

go. Ja też ciebie pamiętam, Zuwald, od razu cię rozpoznałem. Bo widzisz, ja jestem właśnie Adamski. Zaprowadź mnie do mojej siostry...”

Zuwald nie chce wierzyć. Zadaje staruszkowi „chytre” pytania: Ilu Adamski miał braci, siostr, ile ziem itp. Oczywiście staruszek odpowiada wyczerpująco, dokładnie. Zuwald zaczyna wierzyć, potem prowadzi „zmarłychwstańca” do jego rodziny. Prowadzi jako... Adamskiego, którego rozpoznał...

W Sądzie Najwyższym w Warszawie przeglądałem akta sprawy rzekomego Ignacego Idaczyka. Widziałem powiększone zdjęcia



Ignacy Idaczyk (autentyczny)

rzeczywistego Ignacego Idaczyka zrobione przed 42 laty i zdjęcia staruszka-kaleki. Dokładnie wyrównano na fotografiach wszystkie linie twarzy, ust, nosa, czasyki. I nie, nie się nie zgadza. Zakład Kryminalistyczny KGMO stwierdza kategorycznie: Ignacy Idaczyk i staruszek-kaleka, to dwie zupełnie różne osoby.

Zanim zapadł wyrok na staruszkę, długo i skrupulatnie badali go psychiatrzy w Warszawie. Opis ich badań zawiera kilkadziesiąt stron maszynopisu, a kończy go wniosek:

„Osobnik ten jest zwykłym oszustem. Wykazuje dużo spostrzegawczości; jest spokojny, opanowany, podporządkowany, interesuje się prasą, zachowuje się cząsem w sposób teatralny. Jak wynika z badań oskarżony nie wykazuje objawów choroby psychicznej. Jest psychopatą ze skłonnościami do czynów aspołecznych”.

„Człowiek o 20 twarzach” otrzymał surowy wyrok — 5 lat więzienia, jako recydywista, nie wykazujący zupełnie skłonności do poprawy. Wyrok surowy, bo w wieku oskarżonego równający się dożywociu.

Nie jest to jednak zbyt wysoka kara, jeśli pomyśli się o staruszcze Marii Idaczyk z Wielunia, której ten oszust zlamal życie, wniósł w jej starość ogromną tragedię. Jeśli się pomyśli o dziesiątkach oszukanych kobiet, które wykorzystywał tak bezwzględnie, żerując na najsłabniejszych ludzkich uczuciach.

ZBIGNIEW NOWICKI



Janina Kulczycka

odgłosy

str.
8

DUET REKLAMOWY

Dziennie z pewnej rozgłośni dochodziły do moich uszu dwa głosy: jeden damski, dziewczęcy, tochnący spokojem kobiety, która wiedziała, czego chciała i dlatego nabyła to za pieniądze, drugi męski, jakby nieco przyduszony w nasadzie krtań i rozczalony z powodu lekkomyślnie poczynionych zakupów.

Role te niekiedy zmieniały się: mężczyzna, który poczynił zakupy pod właściwym adresem, stawał zarządcą kobiety, która zakupów dokonywała pod adresem niewłaściwym, kocięta miłki, aby zrobić miejsce fragmentowi jakiejś urzędowej polki, bądź wyimkowi z którejś symfonii Beethovena, i duet reklamowy pedził dalej w przyszłość, przeplatany przepiękną, bo dobrą fachową muzyką.



Pewnego dnia duet ten miał taki przebieg:

— Czy już kupiłeś ten tani krawat ze „Spółnoty”, ulica Grzegorza Piramowicza 4, trzecia oficyna na prawo, parter, na wprost schodów, który tak dobrze się wiąże, tak znakomicie zastępuje pasek od spodni i tak wygodnie zastępuje sznurowadła do butów?

— Miałabym nie kupić? Też pytanie! Tak doskonale wiążący się krawat, tak wysmienicie zastępujący pasek od spodni i tak wygodnie zastępujący sznurowadła, który można nabyć tylko w hall „Spółnoty” w ciągu trwania „Tygodnia Taniach Krawatów”, ulica Grzegorza Piramowicza 4, trzecia oficyna na prawo, parter, na wprost schodów... jesteś śmieszny istotnie.

Milczenie, śmiech, kubańska rumba, albo na odwrót: kubańska rumba, śmiech, milczenie i spiker zwraca się do partnerki:

— Adres już zanotowałam?

— Tak doskonale naprawionym piórem miałabym tego nie uczynić? Ach, Kaziu, jesteś istotnie śmieszny.

— Istotnie doskonale naprawionym, a więc naprawianym przez kogo?

— Zapytujesz się, jakbyś tego nie wiedział. Istotnie doskonale naprawionym, bo naprawianym w najbliższym warsztacie reperacyjnym Spółdzielni Usługowej „Samopis”, ulica Juliusza Słowackiego 75 A, front, tamże środki do farbowania ciast, piwo w proszku, wanilia burbońska, celofan. Dlaczego tego nie wiesz?

— Dlaczego mam nie wiedzieć? Nie wiedzieć, że wieczne pióra oddaje się do naprawy do warsztatu reperacyjnego Spółdzielni Usługowej „Samopis”, ulica Juliusza Słowackiego 75 A, front, tamże środki do farbowania ciast, piwo w proszku, wanilia burbońska, to to samo co nie wiedzieć, gdzie mieści się Sklep Materiałów Technicznych, ulica Kluczykiewicza 4, tamże obuwie kwasoodporne, sukna cylindrowe i krochmalarskie, płyty bakelitowe, igelit, barchany

jednostronne szarpane, bielizna azbestowa, ogniotrwała odzież, skórzane fartuchy, nasiadki, nagolenniki, nakolanniki, juchtowe narbrzusniki, gumowe pieluchy, nylonowe powrośta i postronki, chomała, kantary, wielki wybór kawecanów? Jesteś zdumiewająco naiwny.

— Sądziś, że nie wiem, gdzie mieści się Sklep Materiałów Technicznych, ulica Kluczykiewicza 4 tamże obuwie kwasoodporne, sukna cylindrowe i krochmalarskie, płyty bakelitowe, igelit, barchany jednostronne szarpane, bielizna azbestowa, ogniotrwała odzież, skórzane fartuchy, nasiadki, nagolenniki, nakolanniki, juchtowe narbrzusniki, gumowe pieluchy, nylonowe powrośta i postronki, chomała, wielki wybór kawecanów? Jesteś zdumiewająco naiwny.

Następuje zdumiewająco skoczna wstawka muzyczna, zapożyczona np. z polki „Złotdziób” i partnerka chichocze, jakby ją laskotano pod dwiema pachami równocześnie. — Z czego się śmiejesz? — zapytuje zdziwiony partner. — Śmieję się, aby ci zademonstrować nowy mostek. Mostek dentystryczny elektromagnetyczny, wykonany przez „Zakłady Niskiego Napięcia”, ulica Pędzikiewicza 4, jako produkcja uboczna, tamże przewijanie cewek, naprawa pomp głębinowych, w podwórzu, oraz remont kotłów wysokoprężnych, spółdzielnia „Kocioł”.

— A cóż to za usprawnienie? — Jest to konstrukcja dentystryczna osadzona na dwu magnesach... Jej posiadacz śmieję się tylko na literę „a”.

— Dlaczego się śmieję tylko na tę samogłoskę, nie na „y”, „u”, „o”? — Bo ta wyborna konstrukcja tak wibruje w czasie śmiechu, że tylko taki a nie inny rodzaj powstaje w kanale głosowym.

— Czy mogłabyś mnie przekonać, że to usprawnienie i w dziedzinie spółgłosek jest równie wyborne?

— Proszę bardzo! Partnerka przekonuje partnera, że usprawnienie działa wybornie także przy wymawianiu spółgłosek syszających, demonstruje kilka zdań w układzie logicznym typu: tarł trzeci tarcie takt w takt, od czeskich stron szło tkaczy trzech, wreszcie milknę, aby posłyszcie, że wyborne jest usprawnienie wykonane przez „Zakłady Niskiego Napięcia”, ulica Pędzikiewicza 4, jako produkcja uboczna, tamże przewijanie cewek, naprawa pomp głębinowych, w podwórzu, oraz remont kotłów wysokoprężnych, spółdzielnia „Kocioł”.

Zachwycona pochwałą usprawnienia, odpowiada na zapytanie, czy mogłaby mostek pokazać. — Może to uczynić w każdej chwili... Może to uczynić z łatwością, bo posiadacz elektromagnetycznej protezki, wykonanej w „Zakładach”, jak wyżej, nie potrzebuje do wyjęcia usprawnienia ani mesła, ani klucza francuskiego, ani żabki, ani sztamażki, ani obczązków, swe sztuczne uzębienie wyciąga z ust bez pomocy naczynia.

Na zakończenie duetu orkiestra wykonuje fragment „Requiem” Mozarta bądź poematu symfonicznego „Finlandia” Sibeliusa i oto spiker zapowiada „Chwilę muzyczną” poświęconą działalności uczniów Wyższej Szkoły Muzycznej, specjalizujących się w dętych instrumentach drewnianych i perkusji.

Najciekawsze z tego reklamowego ustępu o wybornym usprawnieniu, wykonanym przez „Zakłady”, jak wyżej, jest to, że ta wyborna elektromagnetyczna konstrukcja w ogóle nie będzie produkowana. Nie będzie, ponieważ, jak stwierdziła komisja, za silnie iskrzy się przy wymawianiu spółgłosek gardłowych i, co najważniejsze, za bardzo żarzuca w czasie tak zwanego frenetycznego śmiechu, bo waży ponad półtora kilograma.

Ale o tych podstawowych błędach usprawnienia spikerzy nie mówią słuchaczom. Nie mówią, bo radiowa reklama, jak w ogóle wszelka reklama, nie po to została wynaleziona, aby — ganić, lecz podnosić na duchu; nie grzebić się w sprawach satyryczno-peryferyjnych, ale uderzać — uderzać frontalnie w skalę ponadczasowo-globalnej!

ZYGMUNT FIJAS

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”.
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-19.
Redakcja nie zamawia reklam i nie zwraca.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł.
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch”,
Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 8-578 z zaznaczeniem „na „Odgłosy”,
Druk „Prasa”, Łódź, Żwirki 17. Zam. 792, III. 58. M-4.



cha! cha!

MYŚLI WŁASNE I PODSLUCHANE

Jak stwierdzają naukowcy, w podróż na księżyc, wynoszącą 384.750 km, pierwsze wyruszą kobiety. Dlaczego? Bo są nie-o-bli-czał-ne.

Polityka jak kobieta: musi być giętką i mieć linię.

Wszystko, co złe, poczęło się z kobiety. Nawet następny po Adamie mężczyzna.

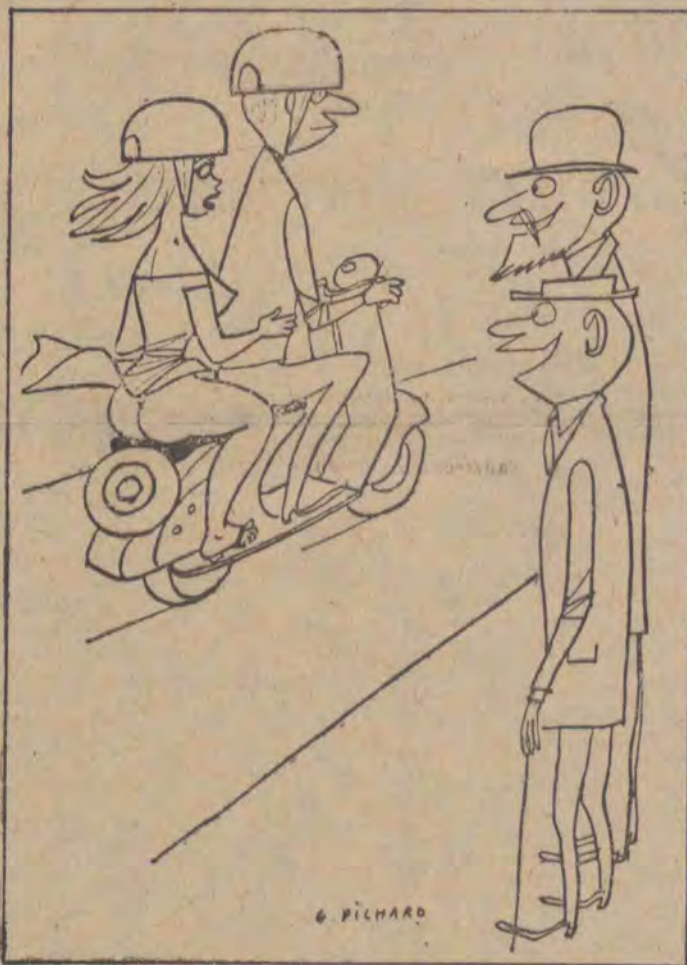
Zwierzała mi się pewna idea: „Niegdyś mymi ideałami były wiara, nadzieja i miłość. Dziś została mi miłość na wiarę bez nadziei na małżeństwo”.

Mickiewiczowskie „urodzony w niewoli, okuty w powleciu” najlepiej rozumie się po kilkunastu latach małżeństwa, gdy w miniony okres swobody trudno już wręcz uwierzyć.

Dramat aktora operetkowego polega na tym, że kiedy jest młody, nikt nie wierzy w jego „miłosne cierpienia”, bo śpiewa o nich sztucznie, a kiedy jest stary, również nikt mu nie wierzy i śmieje się z niego, choć on śpiewa jak najbardziej prawdziwie.

Mówią o pewnym namyślnym zbieraczu monet: on prowadzi bujne życie numizmatyczne.

TADEUSZ GIGIER



— Widzisz, zmusiłeś mnie do włożenia kasku, a teraz się wszyscy ze mnie śmieją.

WACŁAW OLSZEWSKI

Fatamorgana pewnego pana

Po Październiku — niby sprzed wojny
Świat będzie: cichy, sielski, spokojny:

Piotr święty wyda mi klucze w sklepie,
we wła s n y m sklepie i będzie lepiej,
będę mieć znowu morgi obłoków
i wszystko m o j e będzie znów wokół:
półki z kosmosem, sklepy z gwiazdami
— prywatny wszechświat, indywidualny kramik.

Po Październiku — niby sprzed wojny
świat będzie: cichy, sielski, spokojny —

wbrew enuncjatom agencji TASS
nie będzie więcej już walki klas:
duch „kistelewski” i duch „żółkiewski”
szybując zgodnie w przestwór niebieski —
będą cichutko, zgodnie, jak lanie
lizać się wzajem w wiecznej Nirwanie.

Po Październiku — niby sprzed wojny
świat będzie: cichy, sielski, spokojny:

i p. katolik i ob. marksista
przez chmur kurtynę będą się ścisnąć
i z galanterią i całkiem serio
Duch się w kosmosie spotka z Materią
i pocałunki będą w eterze
niosły swe echo: P.O.P.-u z Papierem.

Czytamy prasę

Człowiek woda

Tym człowiekiem jest poeta, Zbigniew Dolecki urodzony w 1930 roku w Toruniu, który (Dolecki, nie Toruń) w znamennym wierszu pt. „Ja” (w zbiorce pt. „Spotkanie z Lemuelem” — sici!) pisze o sobie:

„Pragniesz mnie przemieść
cierpliwie
w niezmożonych rączkach
w basen z drobnych kafelków
które ułożyła sama
abym opływał twoją ciałą
ogarniał cię i zagarniał
abyś była mą w mnie
co dzień się kąpała
co dzień
abym łagodnie dotykał twój
skóry

abym cicho płuskał
i kropkami lał na twych
włosach
i kolanach
więc czepiesz mnie
w garnuszki
i nosisz
nosisz cierpliwie
w niezmożonych rączkach”

No więc tenże Zbigniew Dolecki „czepany w garnuszki”, jak sam o sobie mówi, w n-rze 8 (90) „Kierunków” zabawiał się w recenzenta i napisał (oczywiście nie krwią tylko wodą) w tonie pouczającym o wierszach (w zbiorze pt. „Czas spopielają”) Leona Gomoliczkiego, urodzonego w roku 1903, że mu się one zdecydowanie nie podobają. Nie dziwnego, wiersze Leona Gomoliczkiego nie są wodą!

Smakowity kąsek

W ostatnim n-rze 9 (414) „Nowej Kultury” ukazał się fragment zapowiedzianej przez PIW powieści Jean Paul Sartre’a pt. „Drogi wolności”. Po przeczytaniu tego fragmentu czytelnik myśli sobie, dlaczego redakcja „Nowej Kultury” akurat ten właśnie „kawałek”, a nie inny zamieściła na swoich łamach? Chyba tylko dlatego, że jest gęsto naszpikowany tzw. wyrażeniami nieprzyzwyczajonymi, i które w kilkusetstronicowej powieści może i uchodzą, ale w wyeksponowanym odcinku prasowym rażą. Na niecałej bowiem kolumnie druku znajdujemy wyrazów ordynarnie nieprzyzwyczajonych na literę:

oh w liczbie mnogiej 2
k (rodzaj żeński) w liczbie pojedynczej 3
k w połączeniu ze słowem „mac” 1
k (rodzaj męski) poprzedzony słowem „ten” 1
odp (czasownik, tryb rozkazujący ze słowem posiadkowym „się” i z wykrzyknikiem na końcu 1
Razem 8

nie licząc takich wielokrotnie powtarzanych słów, jak „cholera”, „drań”, „burdel” itp. Wreszcie całość kończy się miłym dla polskiego ucha wyrznięciem: „Pocałuj mnie w dupę!”

Zdaje się to brzmieć jak pobożne życzenie autora w stosunku do swego czytelnika.



str. 9 **odgłosy**

KOMENTATOR DOSTOJNY

NIESPODZIANKI

Niedawno Łódzkie Zakłady Piekarnicze przygotowały dla swych klientów riałą niespodziankę, a mianowicie: w paczkaach wyprodukowanych przez wyżej wymienione zakłady szczęśliwi konsumenci mogli znaleźć zwinięte kawałki papieru — kupony upoważniające do odbioru bezpłatnego tortu.

Pragniemy przypomnieć, że do podobnych niespodzianek konsumenci są od dawna przyzwyczajeni i nierzadko w produktach ŁPZ znajdowali nie tylko papierki, ale także kawałki sznurka konopnego i papierowego, zapłaki, słome, siano itp.

Gdyby jednak ŁPZ wszystkie te utensylia wymieniały na bezpłatne torty, byłyby niewątpliwie najbardziej deficytowym przedsiębiorstwem w Łodzi.

Dor.

NOWE FORMY

Jesteśmy od pewnego czasu świadkami stosowania nowej formy tzw. szantażu. Niesposób np. obejrzeć „Moulin Rouge”, „Na plaży” czy innych współczesnych filmów — bez przymusu wysłuchania kilku starych dowcipów pseudopolitycznych, bez przymusu obejrzenia szczytliwej szczerzącego zęby konferansjera, bez przymusu odsiedzenia „części artystycznej”.

„Występy artystyczne”, które weszły już, nie wiadomo zresztą dlaczego, w krew Okręgowemu Zarządowi Kina, podrażają ceny biletów wstępu, stały się modnym chwyttem zarobkowym. Ale nie chodzi już tylko o tych kilka złotych, natrętnie wydłużanych od amatorów filmu. Niechby były występy,



Bez słów.

SKĄD SIĘ BIORĄ PUSTELNICY

Po opublikowaniu w naszym poczytnym organie „Bezpartyjniak ilustrowany” reportażu pt. „Z wizytą u pustelnika” do redakcji napłynęło wiele listów z pytaniami. Czytelników interesuje przede wszystkim sprawa: skąd się biorą pustelnicy, jak to się dzieje, że ktoś staje się pustelnikiem. Wydawało się nam, że nie będziemy w stanie odpowiedzieć na tak trudną kwestię. Z pomocą jednak przyszła nam prasa stołeczna. „Kurier Polski” opublikował niedawno następującą informację pod frapującym tytułem:

„UCIEKŁ PRZED ZONĄ NA PUSZCZĘ”.

„Katowice. Nie lada sensację wywołało wśród mieszkańców Grodzka tajemnicze zniknięcie Józefa Adamiaka, który od dłuższego czasu nie dawał o sobie znaku życia.

Przypuszczano powszechnie, że popełnił on samobójstwo. Dopiero niedawno odkryto, że w lesie grodzickim, w zbudowanej własnymi rękami lepiance zamieszkał uciekinier ze swym 7-letnim synkiem.

Adamiak żył w niezgodzie ze swoją żoną i z powodu częstych kłótni uciekał z domu. Po ostat-

niej — po filmie, drogi OZK, dla tych, którzy z własnej, nieprzymuszonej woli pragną uczestniczyć w „uczcie duchowej”, mocno zaprawionej szmirą.

„MOCARSTWO-WOŚĆ”

Ile razy przechodzą koło wieżowca, nasuwają mi się chełpliwe myśli:

— Jednak jest się tym mocarstwem telewizyjnym w Europie!

Bo to fakt: mamy wśród państw europejskich największą ilość stacji telewizyjnych. Jednocześnie zaś jesteśmy na ostatnim miejscu pod względem ilości abonentów telewizyjnych. Żeby chociaż programy usprawiedliwiały „mocarstwość”!

ZA DUŻO CZY ZA MAŁO

Dziwne są niekiedy oceny sytuacji. W sprawie zatrudnienia w Łodzi na czoło wybijają się takie dwie opinie:

I

— W przemyśle włókienniczym brak rąk do pracy, nie możemy rozszerzyć produkcji i przekraczać planów — mówił jeden dyrektor.

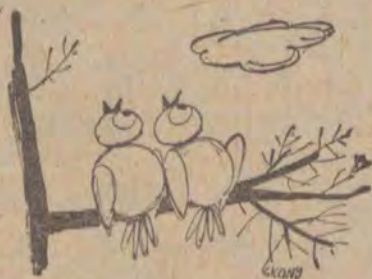
II

— Za dużo ludzi wałęsa się po salach — mówił inny dyrektor. — Nikt nie myśli w tej sytuacji o usprawnieniu procesów produkcyjnych, zmniejszających nakłady pracy ludzkiej. Bo i po co, gdy tylu ludzi w fabryce? W ogóle w łódzkim przemyśle jest za dużo jakiegoś 20 tysięcy pracowników... (bar.)

MAŁY RACJONALIZATOR

„RUCH” W INTERESIE

Aczkolwiek kioski „Ruchu” zaopatrują już nas w smoczki, grzechotki, puder, gwizdki, pierścienki i środki antykoncepcyjne, to jednak szerszy asortyment towarów powitalibyśmy z wielką owaacją. Mamusie czekają na



— Znowu napił się paliwa do rakiet.

pieluszki, śpioszki i gruszki do lewatywek, babacie — na różańce i żywoty świętych pańskich, dziadkowie — na sódke od zgaży, pigułki, myśliwi pragnęliby w „Ruchu” kupować naboje, kordelasy i dwururki, cieśle — płyty tarczowe i zwykłe sztamajzy oraz poziomice, grajkowie — okaryny, drumle i kobzy, hodowcy zwierzątek — pokarm dla rybek i karnarków, zaskrońców i białych myszek, poeci — gęsie pióra, posażki muz i bony na obłady.

Oczywiście jest to jedynie drobny ułamek życia społeczeństwa pod adresem „Ruchu”. Sprzedaż gazet, która już obecnie mocno przeszkadza kioskarzom w obrotach handlowych — mogłaby ulec stopniowej likwidacji.

K.

PATRIOTA LOKALNY

SENSACJA Z WIDAWY

Nie lada sensację przyniosła „Głos Robotniczy” nr 49 wydanie AB, powiadając czytelników w artykule pt. „W Widawie ruszyło”, że Widawa, małe miasteczko w pow. łaskim, zaczęła się rozrastać. „Głos” pisze:

„Oto granice osady minęły rzekę. Rozrósł się obszar miasteczka. Można już mówić o Widawie „prawobrzeżnej” i „lewobrzeżnej”, połączonej mostem i... kładką”.

Na owej kładce, oczywiście, panuje ruch jednostronny, aby nie tworzyły się „zatory”, „korki” i nie było nieszczęśliwych wypadków.

KTO PYTA — NIE BŁĄDZI

1. Czemu marzysz o samochodzie, który przecież może mieć kraksę, podczas gdy pieszemu zdarza to się znacznie rzadziej?

2. Czemu, mając w domu tyle kwasów, nie możesz odzłować, że nie udało ci się nabyć cytryny?

3. Dlaczego żonie kupujesz komplet z trykotu, a przyjaciółce komplet perlonowy?

4. Dlaczego rano, obywatelu, zamiast wstać samemu z łózka i napalić w piecu, wypychasz najpierw żonę?

5. Dlaczego nie stosujesz kremu ochronnego w specjalnych tubkach pod nazwą „Proven”?

6. Dlaczego wołsz cudzą żonę od własnej?

HAZARDZISTA POLSKI

O CZYM NALEŻY PAMIĘTAĆ

W bieżącym sezonie w stawce trzylatków na dystansach krótszych i średnich szczególnie „groźne” dla swych rówieśników będą og. Issos i og. Grys. Należy spodziewać się, że na dłuższych dystansach będzie biegać z dużymi szansami na zwycięstwo polonistwo importowanego og. Aquino: Ariol, Czaplak, Mister Vic.

Z klaczy trzyletnich na szczególną uwagę zasługują Olita i Branza, z którymi o palmę pierwszeństwa będą konkurować Via Aquila, Chandelle, Nutria i Idumea.

M.

FACECJONISTA

FORTEL NA ZŁĄ ŻONĘ

Miał jeden zła a swarliwą żonę, bez przestanku mu jako psu lajała a on im ją więcej o owe lajanie bił, tem więcej ona uporniejsza była. Z inaszej więc beczki począł: ile mu kroć ją lajała on nie nie dbał, ale wzięwszy piszczałkę, chociaż grać nie

umiał, piskał w nią; ona tym mu barziej lajała, a on tym tem więcej piskał. Nazajutrz gdy mu zaś lajać zaczęła, mąż z kalety piszczałkę wyjąwszy, jął też piskać tak długo, aż go żona zaczęła prosić: „O mój miły mężu, już w tę piszczałkę nie piszcz, lajając cię nigdy nie będę”.

(Facecye polskie).

Jest więc sposób na swarłwe żony. Panowie, kupujcie piszczałki.



Najciekawsza audycja „niedzieli”.

PROF. CEZARY BRÓDKA MA GŁOS



Barczo dobrze, moim zdaniem, uczyniła spółdzielnia „Czystość”. Wypożyczalnia Sprzętu Domowego, ul. Nawrot 2 — zaprzestając wypożyczania elektrycznych froterek do podłóg. Klienci nie dbali o sprzęt, wykorzystywali go do maksimum, aż do przepalania się przewodów, co zmuszało spółdzielnię do ciągłych reperacji i ponoszenia kosztów.

Od teraz można wypożyczać jedynie froterki zwykłe. I to bez kijów. „Dobrze pasują kije od szcotek” — zapewniają pracownicy spółdzielni „Czystość”, wykazując w tym względzie dużo pomysłowości.

Wypożyczalnia Sprzętu Sportowego proponuje, żeby idąc za przykładem spółdzielni „Czystość”, lecz uwzględniając własną specyfikę, wypożyczała dla odmiany kijki bez nart, wiośla bez kajaków, bo przecież równie dobrze jeździ się w balli.

Czytajcie za tydzień:

„CHARAKTEROLOG DOMOWY”

czyli informacje o kapeluszach i charakterach naszych bliźnich

BEZPARTYJNIAK ILUSTROWANY

niej awanturze w nocy zabrał syna i „wyprowadził się” do lasu, miron że sąsiedzi ofiarowali mu gościnę. W obawie przed spotkaniem z kłótniwą małżonką Adamiak przez dłuższy czas nie pokazywał się w okolicy.

W sprawie wkroczyły władze terenowe, domagając się od Adamiaka natychmiastowego opuszczenia lasu i zamieszkania w nowoprzydzielonym lokalu w mieście. Adamiak odmówił. Postawiono wobec tego odebrać mu dziecko. Chłopca „porwano” samochodem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i na podstawie orzeczenia sądowego zawieziono do Państwowego Domu Dziecka.

Adamiak nadal pozostaje w lesie i odmawia powrotu do miasta w obawie przed żoną”.

KIEDY TO SIĘ SKOŃCZY?

Przywykliśmy już właściwie do tego widoku, wprawili się do wymijania z doskonałą obojętnością puszczek do śmieci, stojących na środku chodnika, nierzadko otoczonych wieniec rozsypanych nieczystości. System przyjęty przez ob. ob. dozorców polega na tym, że do południa wystawione są na widok publiczny puszki pełne, a od południa do godzin trudnych do określenia —

puszki wypróżnione. Od widzimisię dozorców zależy, kiedy znajdują się one na właściwym miejscu w podwórzach domów.

Prezydium RN m. Łodzi zapowiedziało ostrą walkę o czystość naszego miasta. Zagroziło eksmitowaniem nie-dbałych dozorców, usuwaniem ich z zajmowanych mieszkań, zaostreniem sankcji karnych wobec bruda-

sów zanieczyszczających ulice Łodzi. Wydaje nam się, że pora przejść od deklaracji do czynów. Trzeba także, aby administracje domów nie tylko zajmowały się robotą „papierkową” i ściąganiem opłat za mieszkanie, ale również zadbały o czystość powierzonych im posesji.

Tekst i zdjęcie G. P.



